PONIEDZIAŁEK 28.11.2016 // NUMER 96 (1563) // ISSN 1898-3081 // NR INDEKSU 349-682 // **www.polskatimes.pl** // www.facebook.com/Polskatimes // cena **3.00** (w tym 8% VAT)

JUŻ DZIŚ Dodatek specjalny **„Polska Café"**, czyli przewodnik po dobrej i wartościowej kulturze

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA
gazeta powstaje we współpracy z THE TIMES

ŚMIERĆ DYKTATORA

Fidel Castro nie żyje

Rządził Kubą niemal 50 lat, był symbolem komunizmu i reżimu marksistowskiego. Jego śmierć oznacza koniec pewnej epoki. I początek nowej?
● STR. 10–13

Leszek Miller: To, co PiS robi ostatnio, to obciach i mnożenie sobie wrogów, czyli droga do klęski. ● STR. 8–9

Komandos i PR-owiec. Kim jest płk Wiesław Kukuła, dowódca nowych Wojsk Obrony Terytorialnej. ● STR. 6

FOT. JOSE GOITIA/AP

Kwota wolna, czyli wielka awantura o małą zmianę

Polityka / podatki

Witold Głowacki
Twitter: @WitoldGlowacki

Kwota wolna od podatku miała wzrosnąć do 8 tys. zł, co w kampanii zapowiadała premier Beata Szydło. Teraz wicepremier Mateusz Morawiecki zapowiada podwyżkę. Ale ani nie do 8 tys. zł, ani nie dla każdego.

Tak, dla najmniej zarabiających Polaków kwota wolna rzeczywiście znacząco wzrośnie – nawet do 6,6 tys. zł. Ale próg, od którego w ogóle można będzie na tym skorzystać, został w rządowej propozycji ustawiony niezwykle nisko – na poziomie zaledwie 11 tys. zł rocznego dochodu. Jej maksymalna wysokość (6,6 tys. zł) byłaby dostępna tylko dla osób osiągających roczny dochód niższy niż 6,6 tys. zł rocznie. Ilu Polaków na tym skorzysta? Do 3 mln – bo tyle osób osiąga dochód niższy od 11 tys. zł rocznie lub równy tej kwocie. I tak jednak nikt z nich nie zyska na reformie więcej niż zaledwie 53 zł miesięcznie.

Co ze wszystkimi Polakami, którzy zarabiają więcej niż mniej niż połowa pensji minimalnej? W wypadku zdecydowanej większości z nas – po prostu nic. Kwota wolna pozostanie na tym samym poziomie co obecnie – 3091 zł, dla wszystkich podatników osiągających dochód na poziomie od 11 tys. zł do 85 528 zł rocznie. Powyżej II progu podatkowego kwota wolna będzie stopniowo spadać, a od dochodów na poziomie 127 tys. zł rocznie w ogóle nie będzie można z niej skorzystać. Stracić ma więc na tym około 600 tys. najlepiej zarabiających Polaków. Ale tu także nie ma mowy o podatkowej rewolucji. Najwyższa możliwa strata to 46 zł miesięcznie.

Więcej na ● STR. 5

Gorzej niż zwierzęta, czyli ludzie, którzy krzywdzą psy i koty. ● STR. 14

Fałszywy Kossak. Nie sprawdził, że oryginał wisi w muzeum. ● STR. 15

Nr ISSN 1898-3081 Nr indeksu 349-682
48
9 771898 308011

Druga strona

Na spotkanie z prezydentem zakłada się strój wizytowy do fraków i orderów włącznie. On reprezentuje nasze Państwo! A organizatorzy szykują taki show? Co za schamienie kultury bycia! **ojciec Leon Knabit o Dodzie**

DZISIAJ MAKS. 0 MIN. -3

Felieton

Profesor Jan Miodek

Co dalej z keczupem?

Spośród wszystkich doskonałych monologów – parodii moich wykładów, w których specjalizuje się od lat Łukasz Rybarski z Kabaretu pod Wyrwigroszem, największą radość sprawia moim wnukom ten, w którym utalentowany aktor zastanawia się, dlaczego – wkraczając na obszar kulinarnych podstaw słowotwórczych – można się do kogoś przychrzanić, można komuś przypieprzyć lub przysolić, ale nie można nikomu przykeczupić czy przykeczapić. Nietrudno się domyślić, że największą radość sprawia wszystkim, nie tylko moim wnukom, ostatnia forma – z samogłoską „a". Ja zaś, pokładając się z innymi ze śmiechu, nie mogę nie widzieć w tym brzmieniowym żarcie poważniejszego problemu, związanego ze sposobem przyjmowania do języka wyrazów obcych.

Przez wieki, gdy obce formy docierały do nas za pośrednictwem pisma, utrwalały się one częściej w wersji graficznej: impas, notes, bilet, kabotyn, kowboj, Niagara (a nie „empas", „not", „bije", „kabotę", „kauboj", „najagre". Klub jest ciągle klubem w starych połączeniach typu Łódzki Klub Sportowy, Górniczy Klub Sportowy, Klub Prasy i Książki, ale w nowszych pojawia się już „klab", np. „biznes center klab", „klabing" – tak jak pub stał się od razu w wymowie „pabem", business od dawna jest biznesem. Kierunek ewolucji jest bowiem aż nadto wyraźny: coraz lepsza znajomość języków obcych, podróże, kontakty ze światem, elektroniczne środki przekazu sprawiają, że przybywa zapożyczeń akustycznych, mniej lub bardziej zbliżonych do fonetycznego oryginału. Ja – do końca życia będę mówił o „keczupie", jak zresztą zalecają wydawnictwa poprawnościowe. „Keczap" jeszcze 30–40 lat temu odbierałbym jako formę brzmiącą snobistycznie, pretensjonalnie. Dziś już tak o nim nie myślę, owszem – nie wykluczam, że w przyszłości może się on stać pełnoprawnym wariantem, a może go nawet kiedyś wyprzeć. Zachowania najmłodszych Polaków w tym względzie dają mi wiele do myślenia i podpowiadają takie prognozy. ●

Nowy numer magazynu

„NASZA HISTORIA"

już w kioskach:

● Polskie tropiki
Kolonialne marzenia II RP. Czy była jakakolwiek szansa na ich realizację?

● Lodowi wojownicy
Wielka era polskiego himalaizmu, czyli lata 80. To Polacy rozpoczęli zimowy podbój najwyższych gór świata.

● Czas luxtorpedy
Przedwojenne polskie pociągi kojarzyły się z luksusem i szybkością. Dziś wręcz trudno w to uwierzyć.

● III Rzesza na prochach
Niemieccy żołnierze faszerowani narkotykami

Rozgrywka o składki

Komentarz

Jan Rokita, publicysta

W rządzie rozgorzał spór na temat systemu emerytalnego. Wicepremier Mateusz Morawiecki zapowiedział nie tak dawno, że państwo co prawda planuje przywłaszczyć sobie kolejne 35 mld zł naszych składek emerytalnych, zgromadzonych w otwartych funduszach, ale za to całą resztę – 115 mld zł przekaże na indywidualne konta emerytalne, zarządzane przez prywatnych ubezpieczycieli. Po sławetnej konfiskacie połowy składek przez Tuska i Rostowskiego przed trzema laty, taki koncept wydawał się dowodem na rozsądek rządu PiS, chcącego skłonić zarówno polskie firmy, jak i nas, obywateli do oszczędzania. Miało to być zgodne z fundamentalną ideą głoszoną przez Morawieckiego, iż gospodarka polska ma się teraz rozwijać nie dzięki rosnącej konsumpcji (czyli jak lubi mówić wicepremier – „życiu na kredyt"), ale przez wzrost inwestycji krajowych. A na tym właśnie miała polegać istota „skoku modernizacyjnego", który rok temu zapowiedział Jarosław Kaczyński. Co ciekawe, nawet krytyczni wobec rządu ekonomiści gotowi byli przymknąć oko na zabór kolejnych miliardów przez budżet i wspierać plan rozbudowy systemu dobrowolnego oszczędzania na emerytury. Znany przeciwnik obecnej polityki gospodarczej Janusz Jankowiak powiedział nawet, że za ten plan „trzeba by im dać medal".

Wszystko jednak zaczęło się zmieniać po tym, jak premier Szydło nagle przeforsowała w ostatnich dniach obniżenie wieku emerytalnego i zapowiedziała podwyżkę kwoty wolnej od podatku już od 2017 roku. Stało się jasne, że rząd igra z ryzykiem załamania finansów państwa, więc musi natychmiast znaleźć nowe źródła dochodów. Tymczasem plan znaczącego podniesienia podatków, w tym także likwidacji 19% podatku liniowego od firm, spotkał się z potężnym sprzeciwem biznesu, zaś operacja „uszczelniania" dochodów z VAT przynosi – jak na razie – efekty niewielkie. W takich warunkach prosta powtórka operacji Tuska i Rostowskiego z konfiskatą składek wydaje się nowym pomysłem pani premier. Skoro PO mogła zawłaszczyć 150 miliardów ze składek i uratować w ten sposób swój rząd przed bankructwem, dlaczego nie zrobić tego samego ze 150 miliardami, które krótkowzroczny Tusk pozostawił jeszcze w funduszach?

Projekt taki wychodzi teraz od minister pracy Elżbiety Rafalskiej, co wziąwszy pod uwagę znane wewnątrzrządowe „układy" i lojalność łączącą Rafalską z Szydło, sugeruje, że w istocie jest to inicjatywa pani premier. Politycznej pikanterii projektowi

> **Konfiskata całości składek byłaby ciosem w samo serce Planu Morawieckiego**

nadaje fakt, że wprowadzenie go w życie oznaczałoby przejęcie przez rząd faktycznej kontroli nad szeregiem firm, których akcjonariuszami są dziś fundusze emerytalne. A wśród nich także nad 50% akcji... Agory, czyli wydawcy opozycyjnej „Gazety Wyborczej". Ale prawdziwe ostrze inicjatywy wymierzone jest oczywiście w Morawieckiego i to w podwójnym sensie. Po pierwsze, jeśli dojdzie do ostatecznej konfiskaty składek przez rząd, oznaczać to będzie potężny cios we wiarogodność Morawieckiego, który publicznie złożył całkiem odmienne zobowiązania. A tym samym pod znakiem zapytania stanie realna zdolność wicepremiera do kierowania polityką gospodarczą państwa, i to mimo że formalnie zgromadził on w swoim ręku olbrzymią władzę nad resortami gospodarki, rozwoju i finansów. Ale co ważniejsze, konfiskata całości składek byłaby także ciosem wymierzonym w samo serce Planu Morawieckiego, gdyż uderzałaby w jedyny – jak dotąd – przedstawiony przezeń pomysł na zwiększenie oszczędności krajowych i przełamanie niepokojącego dołka inwestycyjnego, jaki pojawił się w tym roku. Krótko mówiąc: od wyniku rozgrywki o składki pomiędzy Szydło i Morawieckim zależeć będzie znacznie więcej, niźli pozycja każdego z tych polityków w obecnym obozie władzy. Zależeć będzie bowiem los całego planu gospodarczej modernizacji Polski. ●

Kalendarium 28 listopada

1848 – 168 lat temu
● Berno zostało wybrane na stolicę Szwajcarii.

1942 – 74 lata temu
● Na ulicy w Warszawie został zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach I sekretarz KC PPR Marceli Nowotko.
● W nocy z 27 na 28 listopada Niemcy rozpoczęli masowe wysiedlenia Polaków z Zamojszczyzny.

1948 – 68 lat temu
● Urodziła się Agnieszka Holland, reżyserka filmowa i teatralna („Gorączka", „W ciemności").

1967 – 49 lat temu
● W Fabryce Samochodów Osobowych w Warszawie zjechał z linii montażowej pierwszy Fiat 125 p.

1990 – 26 lat temu
● Margaret Thatcher złożyła rezygnację ze stanowiska premiera Wielkiej Brytanii. Jej następcą został John Major.

sow

Sawka komentuje

Już w piątek w

„Polsce The Times"

● Afera pedofliska w piłce. Wielką Brytanią wstrząsnął pedofilski skandal związany z jednym z trenerów.
● Prezydent Ukrainy w Polsce. Co będzie głównym tematem rozmów.

PLUS TELE magazyn

REKLAMA

006872444

HISTORYCZNA

WYPRZEDAŻ ROCZNIKA 2016

ZYSKAJ DO 35 000 PLN*

Ford
Go Further

TAKA HISTORIA NIE LUBI SIĘ POWTARZAĆ.
WIĘC SPIESZ SIĘ I ODKRYJ FORDY **TRANSIT, TRANSIT CONNECT, TRANSIT CUSTOM** ORAZ INNE ATRAKCYJNE MODELE Z ROCZNIKA 2016 Z WYJĄTKOWYMI RABATAMI.

ZAPRASZAMY DO AUTORYZOWANYCH SALONÓW FORDA.

*Kwota rabatu brutto dotyczy Forda Transit VAN 350L4, TREND 2.0, TDCi, 170 KM, RWD, M6. Na zdjęciu samochody z wyposażeniem opcjonalnym. Niniejsza oferta jest ograniczona w czasie, dotyczy przedsiębiorców i nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.
Ford OneCall: 22 522 27 27 – opłata za połączenie zgodna z taryfą operatora. **ford.pl**

Minister Gliński przeprasza za prezesa Kurskiego

Wicepremier Piotr Gliński mówił do tej pory jednym głosem z politykami Prawa i Sprawiedliwości, jednak w kwestii organizacji pozarządowych wydaje się mieć zupełnie inne zdanie niż premier Szydło czy prezes telewizji publicznej

FOT. ANDRZEJ BANAŚ

▶ Piotr Gliński jest wicepremierem i ministrem kultury w rządzie Beaty Szydło

Polityka

Dorota Kowalska
d.kowalska@polskatimes.pl

Minister Piotr Gliński, mocno ostatnio zaskoczył. Na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej w towarzystwie Adama Lipińskiego, sekretarza stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i pełnomocnika ds. równego traktowania i społeczeństwa obywatelskiego, przepraszał. - Sektor pozarządowy, obywatelski to niezbywalny element demokracji. On w Polsce rozwija się od wielu lat, z problemami, ale ma swoje sukcesy i jest niewątpliwie Polsce bardzo potrzebny - mówił wicepremier Gliński. - W związku z tym pewne wypowiedzi i interpretacje, które łączyły funkcjonowanie tego sektora, jego niedostatki czy problemy, np. z kwestią relacji rodzinnych czy działalnością polityczną, niektórych działaczy sektora, uważam, że były zbyt daleko idące, niekiedy wręcz krzywdzące wobec tych działaczy, o których często była mowa - dodał.

Nowa zapowiedź
Prawa i Sprawiedliwości, to utworzenie Narodowego Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, które będzie kontrolować przepływ pieniędzy od poszczególnych ministerstw do organizacji pozarządowych

Żona wicepremiera
Renata Koźlicka-Glińska od lat pracuje w organizacjach pozarządowych

Słowa ministra, to odpowiedź na materiał wyemitowany w telewizji publicznej, a konkretnie w „Wiadomościach" TVP o dotowaniu niektórych fundacji. „Wiadomości" poinformowały o wydatkach warszawskiego ratusza. Pieniądze te otrzymywała min. Fundacja Rozwoju Demokracji Lokalnej, której współtwórcą był Jerzy Stępień, były prezes TK, fundacja kierowana przez Jolantę Kwaśniewską czy wydawca „Gazety Wyborczej". W materiale wymieniono także Zofię Komorowską, córkę byłego prezydenta RP. Fundacja Pracownia Badań Innowacji Społecznych Stocznia, w której wiceprezesem jest Komorowska, miała otrzymać m.in. z kasy miasta ponad z 6 tys. zł za przygotowanie lunchu Warsaw Music Week. W innym materiale dziennikarze telewizji publicznej donosili, że we władzach Stowarzyszenia 61, które prowadzi portal MamPrawoWiedziec.pl i które otrzymywało publiczne pieniądze, zasiada Róża Rzeplińska, córka prezesa Trybunału Konstytucyjnego prof. Andrzeja Rzeplińskiego.

Co ciekawe, emisja owych materiałów zbiegła się w czasie z wywiadem premier Beaty Szydło, w którym wspomniała o politykach opozycji związanych z organizacjami pozarządowymi i zapowiedziała powstanie Narodowego Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, które będzie rządzić pieniędzmi z ministerstw kierowanymi do organizacji pozarządowymi.

Ale wracając do ministra kultury, Piotr Gliński przeszedł do konkretów.

- To nie jest właściwe, gdy próbuje się analizować zjawiska społeczne w ten sposób, że sprowadza się całe zjawisko do kwestii relacji prywatnych czy rodzinnych. To, że ktoś jest czyjąś córką, jest z kimś spokrewniony, to nie znaczy, że działania instytucji, z którą jest ta osoba związana, są od razu naganne i należy je krytykować. W związku z tym jeżeli ktoś urażony, osobiście czuje się zobowiązany do złożenia przeprosin. I tak na przykład, mówiąc bardziej konkretnie, jestem gotów przeprosić panią Zofię Komorowską czy Różę Rzeplińską czy pana Jakuba Wygnańskiego w związku z tym, że te osoby były stawiane w krytycznym świetle w związku z tym, że sektor pozarządowy czasami realizuje jakieś rzeczy w sposób niewłaściwy czy sposób, który można by krytykować - stwierdził. - To nie ma nic wspólnego z tym, że ktoś jest z kimś spokrewniony. Tego typu polemik nie powinniśmy prowadzić i nie powinniśmy sprowadzać bardzo poważnej kwestii - funkcjonowania polskiej demokracji i funkcjonowania w tej demokracji organizacji obywatelskich na taki poziom - dodał jeszcze na koniec minister Gliński.

Słowa wicepremiera wywołały burzę. Jarosław Gowin natychmiast obwieścił na Twitterze, że cieszy się bardzo, iż jest rządzie z kimś takim jak minister Gliński. Z kolei dziennikarze zaczęli dopytywać polityków Prawa i Sprawiedliwości co myślą o dość niespodziewanych przeprosinach ministra kultury.

- To wyłącznie opinia wicepremiera Glińskiego. Nie ma żadnych powodów aby przepraszać za materiały przygotowywane przez niezależną stację - powiedziała Beata Mazurek, rzecznik Prawa i Sprawiedliwości, w rozmowie z portalem 300Polityka.

Od wypowiedzi wicepremiera odcięła się także Krystyna Pawłowicz. „A ja NIE PRZEPRASZAM pani Rzeplińskiej ani pani Komorowskiej (pisownia oryginalna - red.)" - napisała w piątek wieczorem na Facebooku. Posłanka PiS zamieściła też postulat równych praw dla wszystkich organizacji społecznych. „To te uprzywilejowane dotychczas z powodów politycznych i towarzyskich organizacje - niech NAS PRZEPROSZĄ za dotychczasowe wykorzystywanie swego szczególnego statusu i wydawanie większości przekazywanych im środków publicznych na wynagrodzenia" - zaznaczyła Pawłowicz.

Politycy PiS odcinają się od przeprosin wicepremiera Piotra Glińskiego, ale ten może liczyć na wsparcie Jarosława Gowina

Także wczoraj politycy, którzy byli gośćmi programu „Śniadanie w Radiu Zet" komentowali piątkową wypowiedź Glińskiego. Andrzej Zybertowicz, doradca społeczny prezydenta Andrzeja Dudy, zwrócił uwagę, że Gliński był przez 30 lat badaczem, skupiającym się m.in. na organizacjach pozarządowych. - Jego liczne projekty badawcze, publikacje tego dotyczyły. Można przyjąć, że w tych sprawach jest ekspertem - mówił prof. Zybertowacz. Pytany, czy wpływ na taką decyzję miała żona Glińskiego, która pracuje w organizacji pozarządowej, odpowiedział, że „rodzina jest podstawą, a żona może być ważnym źródłem informacji dla męża".

Ale też Renata Koźlicka-Glińska od wielu lat pracuje jako dyrektor programowy w Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolność. Jest też członkinią Stowarzyszenia 61, wydawcy MamPrawoWiedziec.pl. Stowarzyszenie 61 jest pierwszą polską organizacją, która realizuje ideę tzw. smart voting - dostarcza wyborcom informacje o osobach kandydujących i pełniących publiczne funkcje. Więc, kto jak kto, ale minietr Gliński wie o organizacjach pozarządowych sporo.

Niektórzy podnoszą jednak, że żona żoną, ale w Prawie i Sprawiedliwości zaczynają działać siły odśrodkowe.

„Nie ma w przyszłym roku wyborów, ale widzę siły odśrodkowe w Prawie i Sprawiedliwości. Kropla drąży skałę. (..) Był konflikt między ministrem Jackiewiczem i ministrem Morawieckim, jest konflikt rządu, a zwłaszcza min. Macierewicza z prezydentem Dudą, widzę walkę między „Misiewiczami" w różnych resortach. Minister Gowin często krytykuje plany innych ministrów. Przy tak dużej strukturze, jaką jest PiS, przy posiadaniu tak wielu ośrodków władzy taki konflikt jest nieunikniony. Zwłaszcza, jeśli jedyne, co tych ludzi łączy to władza." - mówił nam w piątkowym wywiadzie Ryszard Petru, lider Nowoczesnej.

Także Leszek Miller, były przewodniczący SLD zauważa, że to, co się dzieje może świadczyć o walce poszczególnych grup interesów w Prawie i Sprawiedliwości. Czy ktoś może tę walkę zakończyć? Wydaje się, że tylko jedna osoba. Prezes Kaczyński. ●

REKLAMA 056021489

JESTEM FANEM
CENTRUM MODY NADARZYN
ELEGANCJA
LUNCH W CENIE !!!
NADARZYN, AL.KATOWICKA 51

Wyższa kwota wolna dla najuboższych

Polityka / Podatki

Dla większości nic się nie zmieni. Nieco zyskają ci, którzy żyją w nędzy. Nieco stracą zaś najlepiej zarabiający – tak wygląda plan zmian kwoty wolnej od podatku

Witold Głowacki
Twitter: @WitoldGlowacki

Nieznacznie poprawi się sytuacja najmniej zarabiających Polaków – zyskają maksymalnie 53 zł miesięcznie. Nieco mniej stracą najlepiej zarabiający – oni zapłacą fiskusowi o 46 zł miesięcznie więcej. Dla przeważającej większości Polaków nie zmieni się nic – takie są wnioski z analizy propozycji zmian w wysokości kwoty wolnej od podatku przedstawionej w czwartek przez wicepremiera Mateusza Morawieckiego. Obecnie kwota wolna wynosi 3091 zł. Po zmianach najwyższa możliwa kwota wolna ma wynosić 6,6 tys. zł - skorzystać z niej będą mogli podatnicy zarabiający nie więcej niż również 6,6 tys. zł rocznie. Na pewną podwyżkę kwoty wolnej (tu będzie kilka degresywnych progów) mogą też liczyć podatnicy osiągający dochód nie wyższy niż 11 tys. zł rocznie. Kwota wolna nie ulegnie żadnej zmianie dla wszystkich, którzy wykazują roczny dochód od 11 tys. do 85 528 złotych. Będzie natomiast spadać (tu również przewidziano kilka progów) w wypadku dochodów od 85 528. do 127 tys. złotych. Każdy, kto osiąga więcej niż 127 tys. zł dochodu rocznie pożegna się zaś z kwotą wolną w ogóle – tak w telegraficznym skrócie wygląda projekt przedstawiony przez Mateusza Morawieckiego.

Co to wszystko oznacza? Najwięcej zyskają Polacy osiągający najniższe – wręcz ekstremalnie niskie – dochody, poniżej progu 6,6 tys. zł rocznie. A zatem ci, którzy zarabiają do 550 zł miesięcznie - mniej niż wynosi w Polsce minimum egzystencji . Tylko oni będą mieli prawo do korzystania z kwoty wolnej w najwyższej możliwej wysokości – a zatem na poziomie 6,6 tys. zł. W praktyce, zarabiając maksymalnie tyle, ile wynosi dostępna dla nich kwota wolna, zostaną zwolnieni z podatku. Niestety nie oznacza to jednak szczególnie znaczącej poprawy ich finansów. Choć kwota wolna wzrośnie w ich wypadku o 3,509. zł, to (pamiętajmy tu o stawce podatkowej) zyskają maksymalnie 18 proc z tej kwoty, czyli ok. 632 zł w skali roku. Nie więcej więc niż 53 zł miesięcznie. To jest zarazem najwyższa możliwa kwota, którą ktokolwiek będzie mógł zyskać na proponowanych przez rząd zmianach.

Rządowy projekt nie przewiduje żadnych innych kryteriów uprawniających do wyższej kwoty wolnej, niż odpowiednio niski dochód wykazany w zeznaniu podatkowym. W śród Polaków, którzy będą uprawnieni do tej najwyższej możliwej kwoty wolnej, będą więc i osoby walczące o przetrwanie na granicy nędzy, i ludzie pracujący w większości w szarej strefie, i wreszcie np. utrzymywani przez rodziców studenci czy inne osoby pracujące wyłącznie dorywczo. To znaczy, że na podwyżkę kwoty wolnej może i liczyć i bezdomny „zatrudniony" w nieogrzewanej stróżówce ze stawką 3 zł/h na umowę śmieciową, i niepracujący z wyboru małżonek doskonale zarabiającej osoby, który na przykład od czasu do czasu publikuje gdzieś reportaż z zagranicznych wojaży i dostaje za to honorarium.

Nie dość, że zwiększenie kwoty wolnej poprawi sytuację najsłabiej zarabiających tylko nieznacznie, to i beneficjentów tego ruchu wcale nie będzie w Polsce tak wielu – w skali kraju do 3 mln osób. Jakikolwiek (ale niższy niż 53 zł miesięcznie) „zysk" ze zwiększenia kwoty wolnej odnotują podatnicy osiągający nie więcej niż 11 000 zł dochodu w skali roku. Dla każdego, kto osiąga dochód od 11 000 zł do 85 528 zł rocznie nie zmienia się nic. Powyżej progu 85 258 zł (II próg podatkowy) zaczyna się natomiast strefa strat – kwota wolna będzie tu stopniowo spadać, aż do zera - przy dochodach w wysokości 127 tys. rocznie lub wyższych. To zaś oznacza, że każdy, kto zarabia więcej niż 127 tys. rocznie zapłaci fiskusowi o 46 zł miesięcznie więcej, co także nie oznacza rewolucji.

W efekcie zmiany proponowane przez ministra Morawieckiego mają charakter właściwie kosmetyczny. Ok. 600 tys. najzamożniejszych podatników zapłaci nieznacznie wyższy (nie więcej niż o 46 zł m-cznie) podatek. Z kolei ok. 3 mln najuboższych nieznacznie zyska (nie więcej jednak niż 53 zł m-cznie). Trudno to uznać za jakikolwiek poważniejszy ruch na rzecz bardziej prosocjalnej redystrybucji. Dochody do budżetu natomiast spadną, i to mimo tego, że dla większości Polaków nie zmieni się w kwestii kwoty wolnej kompletnie nic. ● ©℗

Kwota wolna od podatku wynosi dziś 3091 zł. Po zmianach proponowanych przez rząd miałaby wzrosnąć nawet do 6,6 tys. zł, ale tylko dla najmniej zarabiających (dochód mniejszy niż 11 tysięcy zł rocznie) oraz spaść, nawet do zera, w wypadku tych Polaków, którzy osiągają dochód wyższy niż 85 528 zł rocznie.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY 006604044

Inteligentne oświetlenie – mądrze i oszczędnie

Gminy, miasta, a także biznes poszukują oszczędności w wymianie przestarzałego, nieefektywnego oświetlenia, zarówno zewnętrznego, jak i wewnętrznego. Mimo że inwestycje takie mogą szybko przynieść wymierne efekty finansowe, nie zawsze w bieżącym budżecie udaje się znaleźć wolne środki, które można na nie przeznaczyć. Rozwiązaniem może być współpraca z firmą działającą w formule ESCO, która finansuje modernizację oświetlenia, a poniesione przez nią nakłady są spłacane z uzyskanych oszczędności.

Według danych Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, w Polsce znajduje się 3,3 mln lamp ulicznych. Mało wydajne lampy sodowe stanowią 60% z nich. Te tradycyjne wysokoprężne lampy wyładowcze zużywają dużo energii elektrycznej i wytwarzają dużo zbędnego ciepła. Jednak sama wymiana opraw czy źródeł światła na LED-owe to za mało, by mówić o kompleksowej modernizacji oświetlenia i w pełni skorzystać z możliwości, jakie oferuje współpraca z firmą działającą w formule ESCO.

Oświetlenie buduje inteligentne miasto

Efektem takiej współpracy może być bowiem zaprojektowanie i realizacja inteligentnego systemu zarządzania oświetleniem, dzięki któremu możliwe będzie ograniczenie zużycia energii poprzez np. dostosowanie intensywności światła do warunków pogodowych, oświetlenia zewnętrznego czy natężenia ruchu. Wdrożone rozwiązania pozwalają na dostosowanie poziomu oświetlenia do rzeczywistych potrzeb, dzięki czemu np. rzadko uczęszczane alejki oświetlane będą tylko wtedy, gdy pojawi się na nich pieszy. System umożliwia pełną kontrolę nad wszystkimi lampami i pełny monitoring pracy nawet pojedynczego punktu świetlnego.

Jak to robią inni

Współpracę z firmą działającą w formule ESCO ma za sobą miasto Fulnek w Czechach, leżące nieopodal czesko-polskiej granicy. CEZ ESCO ma wieloletnie doświadczenie w realizacji tam swoich projektów. W latach 2013-2014 na terenie miasta całkowicie zmodernizowano oświetlenie publiczne. W niemal 1000 punktów świetlnych zastosowano oprawy o wysokim stopniu krycia, odporne na czynniki zewnętrzne i uderzenia mechaniczne. Zamontowano nowe oświetlenie przy przejściach dla pieszych, oświetlenie świąteczne i okolicznościowe oraz stylizowane historycznie lampy.

Dzięki zdecentralizowanej regulacji obniżono koszty energii elektrycznej, zmniejszono awaryjność systemu oświetleniowego, zwiększono natężenie i równomierność oświetlenia na drogach, czego dodatkowym efektem było podniesienie bezpieczeństwa na nich. Przeprowadzone prace przyniosły obniżenie kosztów eksploatacji systemu o 60%.

Oszczędności w firmie

Mówiąc o inteligentnym oświetleniu, pierwsze co przychodzi na myśl, to oświetlenie uliczne, ale modernizacja oświetlenia może przynieść znaczne oszczędności także przedsiębiorstwom. We współpracy z firmą działającą w formule ESCO możliwa jest na przykład przebudowa oświetlenia w halach produkcyjnych, czy budynkach biurowych. Zakres możliwej współpracy zależy od potrzeb klienta, ale końcowym efektem zawsze jest oszczędność energii i finansów.

Formuła projektów ESCO jest przejrzysta, wygodna dla inwestora i – co istotne – nie obciąża go finansowo ani koncepcyjnie. Gmina czy przedsiębiorstwo szybko mogą zacząć korzystać z nowoczesnego systemu oświetlenia, a uzyskane dzięki temu oszczędności przeznaczyć na dalszy rozwój.

CEZ GROUP

Komandos i pijarowiec, czyli kim jest pułkownik Wiesław Kukuła

Sylwetka

Jeszcze pułkownik, za chwilę awansuje na generała brygady. Komandos **Wiesław Kukuła**, jako dowódca Wojsk Obrony Terytorialnej tworzy zupełnie nowy w Polsce rodzaj sił zbrojnych

Anita Czupryn
a.czupryn@polskatimes.pl

FOT. IRENEUSZ DOROŻAŃSKI

▶ **Pułkownik Wiesław Kukuła jest aktywny na Facebooku, gdzie między innymi pisze o tym, jakie wyzwania przed nim stoją i jak mają wyglądać w przyszłości jednostki „terytorialsów"**

Mówią o nim: świetny organizator, a jeszcze lepszy pijarowiec, który będąc szefem specjalsów z Lublińca dzięki swojej otwartości sprawił, że ta jednostka stała się znana zarówno w Polsce, jak i poza jej granicami. A prywatnie - człowiek dowcipny i potrafiący zjednywać sobie ludzi. Taką też opinię ma Wiesław Kukuła w swojej dawnej jednostce, wśród żołnierzy. Choć znaleźli się i tacy, którzy z przekąsem mówią, że widać, iż Wiesław Kukuła przyjmując nowe zadanie z rąk ministra obrony narodowej, postawił na karierę. - Ale trudno, żeby to było zarzutem dla niego. Idąc do wojska człowiek stawia również na własny rozwój - mówi jeden z rozmówców „Polski".

Przypomnijmy: we wrześniu tego roku minister obrony narodowej Antoni Macierewicz podjął decyzję o powołaniu pułkownika Wiesława Kukułę na dowódcę Wojsk Obrony Terytorialnej. - To istotny moment w historii Wojska Polskiego. Powstaje nowy rodzaj sił zbrojnych. Przekazujemy go w ręce człowieka, który przez lata dowodził jedną z najważniejszych jednostek sił specjalnych. Powierzamy mu los tej tak ważnej dla polskiego wojska formacji, z którą łączymy olbrzymie nadzieje wynikające z zagrożeń, jakie stoją przed Polską - mówił wtedy Antoni Macierewicz. Obrona terytorialna ma być piątym rodzajem sił zbrojnych, oprócz: wojsk lądowych i specjalnych, sił powietrznych oraz marynarki wojennej. Ważnym elementem funkcjonowania WOT, jak zapowiedział kilka dni temu minister Antoni Macierewicz, na eksperckiej konferencji, jaka odbywała się w Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie, ma być współpraca z paramilitarnymi poza samym wojskiem. Podkreślił przy tej okazji, że zadanie utworzenia, uzbrojenia i wyszkolenia obrony terytorialnej w kraju powierzył pułkownikowi Kukule ze względu na ważną rolę WOT w wojnie hybrydowej, będącej zagrożeniem ze strony Federacji Rosyjskiej dla Europy.

Do tej pory pułkownik Kukuła był szefem jednej z najważniejszych w Polsce jednostek sił specjalnych - Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu. Już od jakiegoś czasu oczywistym było, że szybko awansuje do stopnia generała. I tak się właśnie stanie: 29 listopada, przy okazji uroczystości 98. rocznicy odtworzenia Marynarki Wojennej w Gdyni, prezydent Andrzej Duda w Pałacu Prezydenckim oficjalnie mianuje Wiesława Kukułę na stopień generała brygady.

Nowy dowódca ma jasno sprecyzowaną wizję tego, co chce zrobić na nowym stanowisku. Pod jego kierownictwem, jak sam zapowiadał, ma powstać sprawna, efektywna i gotowa do obrony kraju i obywateli formacja. O swoich pomysłach mówi wprost, komunikując się między innymi przez media społecznościowe. Pułkownik Kukuła jest aktywny na Facebooku, gdzie między innymi pisze o tym, jakie wyzwania przed nim stoją. Wprost daje do zrozumienia, że po pierwsze Wojska Obrony Terytorialnej mają być zupełnie inną formacją niż powołana jeszcze za komuny formacja OTK, czy też formacja OT, jaka funkcjonowała do 2008 roku. „Żadnych nawiązań i punktów wspólnych! Złamanie stereotypów i uprzedzeń tkwiących w świadomości wojskowych i części ekspertów wypracowanych przez te formacje, jednym z podstawowych wyzwań" - ogłosił na swoim profilu pułkownik Kukuła.

Po drugie źródłem etosu „terytorialsów", jak nazywa dowódca ochotników, którzy wstąpią do WOT, będą Armia Krajowa i powojenne organizacje niepodległościowe. WOT ma dziś kontynuować ich zaszczytną misję. Po trzecie w końcu Dowództwo Wojsk Obrony Terytorialnej będzie zbudowane w dużej mierze w oparciu o oficerów i podoficerów Wojsk Specjalnych. Pułkownik Kukuła przypomniał, że większość z nich w latach 2007-20012 uczestniczyła w tworzeniu powołanych do życia przez śp. Lecha Kaczyńskiego Wojsk Specjalnych. „Zamierzam wykorzystać zdobyte w tym okresie doświadczenia" - zapowiada dowódca.

Płk Kukuła na FB: „Zawsze pozostanę jednym z Was! Zawsze gotowi i zawsze blisko. Pozostańcie na nasłuchu"

Wiadomo też jak będą wyglądały szkolenia pierwszych oddziałów WOT - poprowadzą je między innymi mobilne zespoły treningowe, w skład których wejdą byli komandosi. Zaplanowane też są konkretne działania na najbliższe miesiące. Priorytetem jest powstanie trzech pierwszych brygad obrony terytorialnej, jakie mają być umiejscowione na wschodzie Polski, na przełomie 2016 i 2017 roku. Chodzi o województwa: podlaskie, lubelskie i podkarpackie. MON ma już przygotowany projekt nowelizacji ustawy o powszechnym obowiązku obrony RP, który w najbliższym czasie trafi do rządu. Pułkownik Wiesław Kukuła zapowiedział też, że do wiadomości publicznej poda szczegółowe oczekiwania, jakie ma wobec przyszłych terytorialsów i będą one skodyfikowane. - Chodzi o to, by najbliższy czas wykorzystali jak najlepiej i przygotowali się do służby w WOT, gdyż do niej również będziemy selekcjonowali kandydatów - mówił dowódca. Planuje tak zorganizować system rekrutacji i zaplanować ścieżkę rozwoju zawodowego przyszłych żołnierzy, aby była ona zintegrowana z siłami zbrojnymi i systemami walk innych rodzajów sił zbrojnych. Mają oni też stanowić wsparcie wojskowe lokalnych społeczności przy okazji klęsk żywiołowych czy katastrof.

Choć to komandosi doświadczeni w szkoleniu afgańskich pododdziałów policji będą teraz szkolić ochotników WOT, to zdaniem pułkownika Kukuły, nie chodzi mu o budowanie kolejnego oddziału komandosów. - WOT ma być lekką piechotą - informuje, dodając, że znajdzie się tu miejsce również dla specjalistów cywilnych, jak na przykład informatyków czy lekarzy.

Pułkownik Wiesław Kukuła urodzony w 1972 roku w Częstochowie, swoją karierę wojskową rozpoczynał od Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności w Zegrzu i Wojskowej Akademii Technicznej na kierunku elektronika i telekomunikacja. Służbę rozpoczynał w 1 Pułku Specjalnym Komandosów (dzisiejsza JWK), przechodząc drogę od dowódcy plutonu po szefa sztabu, skąd w 2006 roku przeszedł do Dowództwa Wojsk Specjalnych, służąc jako oficer operacyjny. Do jego zadań należało planowanie i kontrola operacji specjalnych, jakie prowadziły zespoły bojowe.

Pułkownik Kukuła był też uczestnikiem misji w Iraku, gdzie w ramach Polskiego Kontyngentu Wojskowego pełnił służbę w Składzie Międzynarodowych Sił Stabilizacyjnych. Ma skończone specjalistyczne kursy planowania i kierowania operacjami specjalnymi w NATO Special Operations HQ czy US Joint Special Operations University.

Szczególnie jednak podkreśla to, że zawsze pozostanie komandosem: „Zawsze pozostanę jednym z Was!" - pisze, zwracając się do wszystkich kandydatów na Terytorialsów: „Będziemy „Zawsze gotowi i zawsze blisko". Pozostańcie na nasłuchu". ●

©℗

Materiał Informacyjny 156913284

W 2016 roku po raz szósty Instytut Książki i „Rzeczpospolita" nagradzają samorządy najbardziej zaangażowane w kulturalny rozwój swojej gminy.

Docenieni zostają ci, dla których dobrze działająca biblioteka gminna jest najlepszym świadectwem dbałości samorządu o zapewnienie łatwego i bezpłatnego dostępu do kultury, wiedzy i nowych mediów.

28 listopada odbędzie się uroczyste ogłoszenie wyników VI edycji rankingu najlepiej prowadzonych bibliotek. Podczas gali nagrodzeni zostaną przedstawiciele samorządów i bibliotek z pierwszej dziesiątki rankingu oraz liderzy każdego z województw.

Pracuję na swoim – tak jak chcę!

Własna działalność gospodarcza jest coraz częściej wybieranym kierunkiem przez niezależne, ambitne osoby, które mają sprecyzowane, dość wysokie wymagania od siebie i rynku pracy. Nie chodzi tu o brak ofert, bo bezrobocie w Polsce maleje i coraz łatwiej znaleźć zatrudnienie. Prowadzenie własnej firmy to kwestia świadomego wyboru innej drogi, chęci sprawdzenia swoich sił, niezależności czy realizacji pomysłów i marzeń.

Rozkręcenie swojego biznesu wydaje się trudne i obarczone ryzykiem. Są jednak sposoby, aby ograniczenia w postaci braku środków na inwestycję, dobrej lokalizacji, sprzętu czy praktyki skutecznie pokonać. Żabka Polska oferuje współpracę na zasadach franczyzy przedsiębiorczym osobom bez względu na wiek. Zarówno młode osoby bez większego doświadczenia, jak i bardziej dojrzałe, mające za sobą wiele lat pracy, z sukcesem podejmują się prowadzenia sklepów sieci. Nakłady finansowe ponoszone przez franczyzobiorcę są niewielkie, a wsparcie sieci olbrzymie. Firma przeprowadza kilkuetapowe szkolenie przed rozpoczęciem działalności przez kandydata, tak by obie strony mogły ocenić czy nawiązać współpracę. Zapewnia wykończony, wyposażony i zatowarowany lokal na starcie oraz stałą opiekę w trakcie trwania umowy. Comiesięczny przychód podstawowy w wysokości 6500 zł pomaga utrzymać płynność finansową i opłacić pracowników. Takiego wsparcia nie uzyska detalista spoza sieci. Ponadto marża w wysokości minimum 5% może wzrosnąć zależnie od realizacji celów sprzedażowych.

Mój rozwój zależy ode mnie

Sieć sklepów pod znanym klientom markami Żabka i Freshmarket liczy łącznie ponad 4300 placówek zlokalizowanych w całej Polsce i stale rośnie. Firma umożliwia rozwój młodym osobom, które stawiają pierwsze kroki w biznesie, jaki i dojrzałym, które chcą się przebranżowić lub muszą budować swoją pozycję w nowym miejscu zamieszkania. Ambitni i pracowici franczyzobiorcy nie muszą długo czekać na docenienie ich zaangażowania. Mogą rozbudowywać swój biznes, podejmując się prowadzenia kolejnych punktów, z czasem również szkolić innych kandydatów.

Młodzi przedsiębiorczy

W styczniu tego roku Ewa Szulc, mając 27 lat, zdecydowała się otworzyć Żabkę. Pochodzi z Pisza na Mazurach, a obecnie prowadzi już dwie placówki w Gdyni. Założenie własnej działalności i współpraca z siecią było dla niej szansą na pozostanie w Trójmieście i rozwinięcie skrzydeł, pracując na własny rachunek.

– Decyzję o prowadzeniu Żabki podjęłam, mając już doświadczenie jako pracownik sklepu tej sieci. Poznałam wiele osób zadowolonych z kilkunastoletniej współpracy z Żabką, co tylko utwierdziło mnie w tym, że robię dobry krok. Firma zapewniła mi szkolenie, wykończenie i wyposażenie sklepu oraz jego zatowarowanie. Dzięki wsparciu ze strony Partnera ds. sprzedaży mogę ciągle się rozwijać, pracować efektywniej i prowadzić już dwa sklepy. **By rozpocząć swój biznes we współpracy z Żabką nie potrzebowałam dużego wkładu finansowego, a zarabiam znacznie więcej i mam satysfakcję z tego, co robię – poleca Ewa Szulc.**

Ewa Szulc z Gdyni, franczyzobiorca Żabka Polska.

Wracam na swoje

Beata Kalisz wróciła do Polski po kilkunastoletnim pobycie w Grecji. Nie bała się zmian, gdyż zawsze była aktywna, lubiła się uczyć i podejmować nowe wyzwania, więc gdy zauważyła ogłoszenie o możliwości prowadzenia sklepu Żabka, skorzystała z tej szansy. W marcu 2015 roku otworzyła swoją pierwszą Żabkę w Głogowie, parę miesięcy później kolejną w oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów Górze, a obecnie prowadzi już 3 sklepy.

– Kiedy w dojrzałym wieku musiałam od nowa rozeznać się na rynku pracy w Polsce, szybko zorientowałam się, że dla wielu pracodawców moje doświadczenie jest przeszkodą. Dla Żabki było ono atutem. Nikt nie zasugerował, że jest dla mnie na coś za późno. Jako osoba energiczna, pracowita i zaradna, podjęłam wyzwanie i otworzyłam Żabkę – tłumaczy pani Beata.

Decyzja o rozpoczęciu własnej działalności musi być wyważona, a jej podjęcie wymaga wcześniejszej oceny wszystkich „za" i „przeciw". Pani Beata jest zadowolona ze swojego wyboru. – Analizowałam wiele opcji i nie zdecydowałabym się na otwarcie niezależnego sklepu. Nie wyobrażam sobie funkcjonowania bez otrzymywanego wsparcia logistycznego, marketingowego, regularnych dostaw i nieocenionej pomocy ze strony sieci w rozmaitych kwestiach. Wystarczy skontaktować się z odpowiednią osobą z firmy, żeby pomyślnie załatwić sprawę.

Każdy chce pracować tak, jak lubi, i przy tym zarobić. W Żabce jest to możliwe. **– Największą korzyścią prowadzenia sklepów franczyzowych jest z jednej strony niezależność, bo sama dysponuję własnym czasem, sama dobieram sobie współpracowników i od mojego zaangażowania zależy, ile finalnie zarobię.** Osiągane dochody pozwoliły zyskać mi stabilność finansową. Z drugiej strony wsparcie, które uzyskuję, rozwiązuje wiele problemów, z jakimi borykają się małe firmy. Zawsze mogę zadzwonić do Partnera ds. sprzedaży, który postara się mi pomóc – podsumowuje franczyzobiorczyni.

Dlaczego warto spróbować:

- Żabka zapewnia wyposażony i zatowarowany sklep. Wymagany wkład własny Franczyzobiorcy to zaledwie kilka tysięcy złotych.
- Zanim Franczyzobiorca zacznie prowadzić swój sklep, przechodzi kompleksowy program szkoleń.
- Franczyzobiorca sam dobiera sobie pracowników i określa swój czas pracy.
- Żabka gwarantuje regularne dostawy większości towarów, a zapłata za dostarczony towar następuje po jego sprzedaży.
- Ogólnopolskie kampanie reklamowe i promocyjne obejmują wszystkie sklepy.
- Żabka zapewnia nowoczesne oprogramowanie znacząco ułatwiające zarządzanie sklepem.
- Każdego dnia Franczyzobiorca może skorzystać z merytorycznego wsparcia ze strony opiekującego się nim Partnera ds. Sprzedaży oraz czerpać z know-how budowanego od 1998 r.
- Dzięki wiedzy i doświadczeniu oraz sile zakupowej sieci każdy sklep Żabka ma atrakcyjną ofertę towarów i usług, która odpowiada na kluczowe potrzeby klientów.

Osoby zainteresowane nawiązaniem współpracy z Żabka Polska powinny odwiedzić stronę www.zabkapolska.pl (zakładka: Franczyza) lub przesłać email na adres franczyza@zabka.pl.

Miller: PiS mnoży sobie wrogów. To droga do klęski

O Fidelu Castro i końcu pewnej epoki w światowej polityce, o stanie polskiej gospodarki, sprzecznych zapowiedziach płynących ze strony rządu i o tym, co jest pierwszym krokiem do politycznej klęski – mówi **Leszek Miller**, były lider SLD

FOT. BARTEK SYTA

▶ Miller: Fidel Castro wzbudza skrajne emocje i tak już pozostanie

Rozmowa

Dorota Kowalska
d.kowalska@polskatimes.pl

Zmarł Fidel Castro, chyba kończy się jakiś etap światowej polityki, prawda?

O tak, na pewno. Nigdy się z nim nie spotkałem i bardzo żałuję, bo byłoby to na pewno silne przeżycie, zwłaszcza w czasach, kiedy Castro był niekwestionowanym przywódcą, nie tylko Kuby, ale całego postępowego nurtu narodowo-wyzwoleńczego. Castro inaczej będzie oceniany w Europie, inaczej w tamtym rejonie świata. Przyjaźnił się, jak pani wie, z wieloma osobistościami, z Gabrielem Garcią Marquezem, Diego Maradoną, Nelsonem Mandelą. W książce Artura Domosławskiego „Gorączka latynoamerykańska" dziennikarz brazylijski Clavisa Rossi mówi, że Castro cieszy się wielkim szacunkiem w tamtym rejonie świata, bo po raz pierwszy powiedział „nie" amerykańskiemu imperializmowi. Rossi podkreśla, że głównymi problemami Latynosów były, i wciąż są, nędza, wyzysk, niesprawiedliwość, dominacja Stanów Zjednoczonych, rabunkowa eksploatacja poszczególnych krajów. Castro rzucił wyzwanie w imieniu całego regionu i wygrał. I dlatego wiele mu się wybacza.

No tak, ale niektórzy uważają Castro za dyktatora, a Kuba to dzisiaj kraj biedy, swoisty skansen.

Castro wzbudza skrajne emocje i tak już pozostanie. Warto zauważyć, że wielu polityków Zachodu w przesłanych kondolencjach wyraża szacunek i uznanie dla kubańskiego przywódcy. Jean-Claude Juncker, Federica Mogherini, Justin Trudeau, Aleksis Cipras, Robert Fico, François Hollande i wielu innych. Petro Poroszenko przypomniał o pomocy Kuby dla dzieci z Czarnobyla. „Zawsze będziemy cenili inicjatywę Fidela Castro, który przejął się bólem Czarnobyla i pomógł zachować życie tysiącom małych Ukraińców" – podkreślił prezydent Ukrainy. Kuba przyjmowała na leczenie ukraińskie dzieci od 1991 r. Programem, który trwał około 20 lat, objętych zostało ponad 20 tys. dzieci. Kubańskie władze wydały na ten program 350 mln dol. Są rzecz jasna opinie całkowicie przeciwne, jak np. ostre słowa Donalda Trumpa. Tu jednak dobrze pasuje sytuacja z lat prezydentury Roosevelta, który zdenerwowany postępowaniem krwawego dyktatora Nakaragui Anastasio Somozy wykrzyknął: „Tak, to prawda, Somoza jest skurwysynem, ale to nasz skurwysyn". El Comandante nie można było zaliczyć do tej kategorii. Co zaś do poziomu życia, to trzeba go porównać z innymi krajami Ameryki Łacińskiej i Południowej. Na pewno Kuba przebija wszystkich powszechną edukacją i ochroną zdrowia i to mimo 50-letniej amerykańskiej blokady i mimo upadku ZSRR, który wspomagał wyspę, choć pierwotny wymiar rewolucji miał charakter narodowo-wyzwoleńczy, a nie komunistyczny.

Wróćmy jednak na nasze krajowe podwórko: Co Pan myśli, jak patrzy na to, co dzieje się w gospodarce albo słyszy słowa o tym, że wszystkiemu winni są polscy przedsiębiorcy powiązani z opozycją, którzy nie chcą inwestować?

To demagogiczny i bardzo uproszczony punkt widzenia. Nie znam przedsiębiorcy, który nie chciałby zarabiać, zakładając, że ma pewność warunków prawnych i wysoko ocenia swoje szanse na sprzedanie swojej produkcji. To, co najbardziej rzuca się w oczy, to fakt, że według ostatnich raportów GUS polska gospodarka gwałtownie zwalnia.

Dlaczego, Pana zdaniem?

Zwalnia z różnych powodów. Po pierwsze - z powodu rosnącego pesymizmu. Przez Europę i świat przechodzi fala niepewności i dotyka także Polskę. Po drugie - marnie wygląda stabilność prawa, szczególnie podatkowego. Po trzecie - występuje kakofonia pomysłów, która sprawia wrażenie chaosu i braku rządowego pomysłu strategicznego. Wreszcie spadek inwestycji zwłaszcza w samorządach. Po trzech kwartałach spadek

To, co najbardziej rzuca się w oczy, to fakt, że według ostatnich raportów GUS polska gospodarka gwałtownie zwalnia

wydatków na inwestycje samorządowe wynosi aż 46 proc., czyli zmalał prawie o połowę w stosunku do analogicznego okresu roku ubiegłego. Obraz jest niewesoły, ale jaki ma być, skoro najpierw słyszymy, że będzie podatek zintegrowany, a później, że go nie będzie, albo padają różne deklaracje na temat wysokości kwoty wolnej od podatku.

No podobno jest już znana.

Rok temu podczas sejmowego exposé premier Szydło zapowiedziała podniesienie do 8 tys. zł kwoty wolnej od podatku w ciągu pierwszych stu dni rządów. Podniesienie kwoty wolnej do 8 tys. zł było także w programie prezydenta Dudy. Wbrew tym zapowiedziom kilkanaście dni temu Sejm uchwalił ustawę wydłużającą do 1 stycznia 2018 r. dotychczasową kwotę wolną od podatku, czyli 3091 zł. Aliści jutro Senat ma podnieść tę kwotę do 6,6 tys. zł, wprowadzając przy tym zróżnicowanie dochodowe. Nawiasem mówiąc, jak już PiS obiecał kwotę wolną w wysokości 8 tys., to powinien ją wprowadzić, przywracając jednocześnie trzecią stawkę podatkową w wysokości 40 proc., którą lekkomyślnie zlikwidował. Ustawa podatkowa musi wejść w życie najpóźniej 30 listopada tego roku. Zostało więc kilka dni i znów ważna problematyka będzie rozpatrywana w niesłychanym tempie. Wracając do PKB, można oczywiście powiedzieć, że wskaźnik na poziomie 2,5 proc. w trzecim kwartale to niezły wynik, bo to dalej jest 2,5. Ale, po pierwsze, miał być powyżej 3 proc., a po drugie - tempo nadal spada i według niektórych prognoz na koniec roku może być 1,8 proc. Biorąc pod uwagę wysokość długu publicznego, deficytu budżetowego i poważne wydatki socjalne, taki mały wzrost czyni sytuację bardzo niebezpieczną. W tym wszystkim jest jedna łyżka miodu - ośmioprocentowa stopa bezrobocia.

Ale rząd będzie musiał skądś wziąć pieniądze na spełnienie swoich obietnic. Program „500 Plus" kosztuje, obniżenie wieku emerytalnego kosztuje i można by tak jeszcze sporo wyliczać.

Rząd może wziąć te pieniądze tylko z podatków obywateli i prężnej gospodarki. Może się też zadłużać, ale dług publiczny to już ponad 900 mld zł, niedługo będzie okrągły bilion, a deficyt budżetowy został zaplanowany na 55 mld, a więc na poziomie skrajnie wysokim. No więc pozostaje gospodarka, ale gospodarka, żeby zarobiła na wszystkie wydatki socjalne i skracała dystans do najwyżej rozwiniętych krajów UE, musi dawać PKB na poziomie 5 proc., tak jak to było za rządów SLD. Jeżeli będzie 2 proc., to rząd Prawa i Sprawiedliwości znajdzie się w sytuacji, kiedy będzie musiał rezygnować z niektórych swoich zapowiedzi albo z niektórych już podjętych decyzji.

Wie Pan, mnie zastanawia inna rzecz: w tym rządzie każdy mówi co innego, jeżeli chodzi o sprawy gospodarki – co innego mówi pani premier, co innego minister Kowalczyk, co innego sugeruje minister Gowin, jeszcze inne propozycje rzuca wicepremier Morawiecki.

Tak, ma pani rację. Wspomniałem o tym wcześniej - panuje swego rodzaju kakofonia wynikająca ze sprzecznych

oświadczeń czy zapowiedzi. Trzymajmy się choćby przykładu jednolitego podatku: jeszcze niedawno słyszeliśmy, że sprawa jest przesądzona, ale kilka dni temu pani premier powiedziała, że zawiesza ten pomysł, nawiasem mówiąc, słusznie, bo wdrożenie go w życie oznaczałoby likwidację jednoosobowej działalności gospodarczej opodatkowanej 19-procentowym podatkiem wprowadzonym jeszcze przez mój rząd i stosowanym przez pół miliona osób. W tym przypadku, ale też w innych, chodzi o szum informacyjny czyniony przez samych polityków PiS. To jest zresztą szerszy problem, bo jeśli w kampanii wyborczej PiS wysyłał do wyborców jednolity przekaz, to kiedy zaczęło się rządzenie, rozpoczęła się kakofonia. I mam wrażenie, że nikt już nad tą nadprodukcją myśli i pomysłów nie panuje. Przypomina to anegdotę o Władysławie Gomułce, który miał mawiać: „Ja rzucam myśl, a wy ją łapcie".

Ale przecież członkowie rządu ze sobą rozmawiają! Są jakieś posiedzenia Rady Ministrów, prawda?

Są posiedzenia Rady Ministrów, ale jest wielu członków rządu, którzy mają takie parcie na szkoło, chcą ogłaszać dobre nowiny, że nie mogą się powstrzymać, a premier ma ograniczone możliwości panowania nad tym. I to prawdopodobnie się nie zmieni, dopóki premierem nie zostanie Jarosław Kaczyński. Kaczyński miałby szansę, aby ten przekaz ujednolicić.

A może to świadczy o tym, że są jakieś tarcia w Prawie i Sprawiedliwości? Że są jakieś osoby, które się z pomysłami premier Szydło czy prezesa Kaczyńskiego nie zgadzają?

Oczywiście, że świadczy to o tym, iż istnieją jakieś grupy interesów, które walczą ze sobą. Tak czy owak, to wszystko składa się na obraz wewnętrznej destabilizacji władzy, co dezorientuje przedsiębiorców i wprowadza klimat nieufności, a to oczywiście przekłada się na naszą gospodarkę.

Pan się domyśla, o co chodzi pani premier Beacie Szydło z organizacjami pozarządowymi?

Nie wiem, o co chodzi. Zrozumiałem, że ma powstać Narodowe Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego i to ciało ma koordynować działalność organizacji pozarządowych. Jest ich około 100 tys., jakieś 17 tys. fundacji, reszta to stowarzyszenia. Pomysł zmierza do większej centralizacji i większej kontroli tego, gdzie pieniądze na rzecz tych organizacji mają trafiać. Dziś decydują o tym konkretne departamenty w ministerstwach, od lutego przyszłego roku ma być od tego specjalna instytucja. To wywołało zrozumiałą podejrzliwość, że środki będą przyznawane „po uważaniu". Jeżeli pani premier już taki postulat sformułowała, to żeby uspokoić organizacje pozarządowe, powinny się odbyć uczciwe, pogłębione konsultacje, podczas których rząd wysłuchałby rozmaitych uwag i przyjął jakieś wspólne rozwiązania. Ale jeżeli będą one przepychane siłą, to PiS będzie miał kolejny problem. Tym bardziej że z roku na rok wzrasta zaufanie Polaków do organizacji pozarządowych. W 2004 r. mój rząd wprowadził możliwość przekazania 1 proc. podatku na rzecz organizacji pożytku publicznego. Skorzystało z tego 80 tys. podatników, a w 2014 r. już ponad 12 mln! W 2004 r. przekazano 10 mln zł, w zeszłym roku – już 617 mln.

Tarcia w PiS
Różne przekazy płynące z ust polityków PiS mogą świadczyć, że w partii istnieją różne grupy interesów, które ze sobą walczą. Tak czy owak, to wszystko składa się na obraz wewnętrznej destabilizacji władzy

Organizacje pozarządowe cieszą się coraz większym zaufaniem społecznym. W 2014 r. 12 mln podatników przekazało 1 proc. podatku na rzecz organizacji pożytku publicznego

Tak, i tu też dochodzi do śmiesznej sytuacji: telewizja publiczna atakuje kilka organizacji pozarządowych, a za chwilę minister Gliński przeprasza za to panią Komorowską i panią Rzeplińską. To trochę tak, jakby minister Gliński przepraszał za prezesa Kurskiego.

Tak to wygląda. Wicepremier Gliński przepraszał i został poparty przez Jarosława Gowina, który napisał na Twitterze, że jest dumny z tego, iż jest w jednym rządzie z Glińskim. Inni politycy PiS stwierdzili jednak, że nie ma za co przepraszać, no i są kolejne awantury.

Nie ma Pan wrażenia, że PiS idzie na wojnę z kolejnymi środowiskami: wypowiedział wojnę nauczycielom, wcześniej prawnikom, teraz organizacjom pozarządowym. Nie wiem, czy rozsądne jest otwieranie aż tak wielu frontów.

Oczywiście, że to nie jest rozsądne. Przypomina mi się scena z wojny krymskiej, kiedy lekka brygada kawalerii brytyjskiej atakowała dobrze umocnione i wstrzelane pozycje artylerii rosyjskiej. Kawalerzyści zostali zmasakrowani. Francuski generał Bosquet, który to wszystko obserwował, powiedział: „To wspaniałe, ale to nie jest wojna". Jak się patrzy, co robi teraz rząd i większość parlamentarna, można powiedzieć: „To ładne, ale to nie jest polityka".

A co to jest?

Podobno zarządzanie poprzez konflikt. Ale tak naprawdę to jest, używając języka slangowego, „obciach" i mnożenie sobie wrogów, czyli droga do klęski.

Co przyniesie przyszły rok, jak Pan myśli?

Trudno powiedzieć – świat, Europa wchodzą w okres gwałtownych zmian, których skutki trudno przewidzieć. Mam na myśli Brexit, problem imigrantów, wyniki wyborów w Stanach Zjednoczonych, za chwilę będzie nowy prezydent w Austrii – być może przedstawiciel radykalnej prawicy – wybory we Francji. Jest coś w powietrzu, co pokazuje bardzo głęboką zmianę i ta zmiana odciśnie się także na Polsce. Ufam, że nic złego się nie stanie, być może będziemy się wolniej rozwijać, będzie więcej konfliktów, ale przez te prawie trzydzieści lat zbudowaliśmy takie kotwice w systemie demokratycznym, które nas będą w nim trzymać. Mam na myśli akces do NATO, wejście do Unii Europejskiej, solidny system parlamentarny, samorządy terytorialne, społeczeństwo obywatelskie. To są solidne fundamenty. Ale jak będzie, trudno dzisiaj przewidzieć. ●

Europa i świat wchodzą w okres gwałtownych zmian, których skutki trudno, przynajmniej na razie, przewidzieć

MATERIAŁ INFORMACYJNY BZWBK 016855713

Świąteczne wydatki łatwiej przeżyć **z dobrym kredytem**

● Ponieważ w ostatnich tygodniach roku nasze potrzeby finansowe są szczególnie wysokie – ze względu na wydatki związane z Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem, warto już teraz sporządzić wstępny bilans domowego budżetu.

Jak konsekwentnie pokazują statystyki z kolejnych lat, w listopadzie i grudniu przeznaczamy na zakupy dużo więcej pieniędzy niż w innych miesiącach roku. Święta Bożego Narodzenia oraz Nowy Rok to czas, gdy rodzinie i gościom nie powinno niczego brakować na stole, a pod choinką domownicy i goście powinni znaleźć jak najbardziej atrakcyjne prezenty. Handlowcy też w tym czasie oferują po promocyjnych i obniżonych cenach różne inne towary, niekoniecznie niezbędne do spędzenia świąt w zgodzie z tradycją.

Powinniśmy więc dobrze przygotować się do tych wydatków, by nie być zmuszonym do pożyczania pieniędzy na ostatnią chwilę. Jak pokazuje praktyka, gdy działamy w pośpiechu, najczęściej podejmujemy nieracjonalne decyzje, co w przypadku pieniędzy jest szczególnie kosztowne. W ramach tych przygotowań do świątecznych wydatków warto więc już teraz rozejrzeć się za dobrym kredytem, który w sposób możliwie wygodny i na korzystnych warunkach pozwoli nam sfinansować zaplanowane, ale i nieprzewidziane wydatki.

Wśród takich produktów finansowych ciekawie prezentuje się kredyt gotówkowy oferowany przez Bank Zachodni WBK. I to nie tylko dlatego, że zgodnie ze znaną już „sportową" linią marketingową banku reklamują go znane postaci: reprezentant piłkarskiej reprezentacji kraju Łukasz Fabiański i uznany komentator sportowy Mateusz Borek, dzięki czemu łatwo np. znajdziemy placówki bankowe, w których kredyt ten można otrzymać. Najważniejsze jest to, że bank przygotował ofertę szybkiego kredytu gotówkowego w oparciu o badania, kierując się założeniem, że ma on być optymalnie dostosowany do potrzeb osoby potrzebującej gotówki „na ostatnią chwilę".

– *Polaków, którzy w ciągu ostatnich dwóch-trzech lat pożyczali pieniądze, zapytaliśmy o przyczyny takiej decyzji. Respondenci najczęściej deklarowali, że nie starczyło im pieniędzy na codzienne wydatki. Odpowiedziało tak 20 proc. ankietowanych* – wyjaśnia Mateusz Górzny, dyrektor sprzedaży i dystrybucji segmentu klienta indywidualnego w Banku Zachodnim WBK.

Sytuacja, w której zabraknie pieniędzy na bieżące wydatki, wymaga naszej natychmiastowej reakcji. Zazwyczaj też na rozwiązanie problemu nie potrzebujemy wielkich kwot. – *Dodatkowe pieniądze potrzebne są szybko, nie ma czasu na skomplikowane i długotrwałe procedury kredytowe. Dlatego w najnowszej ofercie zadbaliśmy o to, żeby kredyt gotówkowy można było uzyskać w łatwy i prosty sposób* – mówi dyrektor Górzny.

Tak więc szybko kredyt gotówkowy może otrzymać praktycznie od ręki zarówno osoba, która jest już klientem Banku Zachodniego WBK, jak i ta, dla której będzie to pierwsza umowa z tym Bankiem. Jedna i druga może otrzymać pieniądze – do 4 tys. zł – przyznane według uproszczonej procedury kredytowej, czyli bez zaświadczeń i poręczeń, jedynie w oparciu o pisemne oświadczenie o dochodach. Sama zaś decyzja o przyznaniu kredytu wydawana jest w oparciu o standardową procedurę sprawdzającą zdolność kredytową klienta, przeprowadzaną przez Bank Zachodni WBK. W okresie przedświątecznego szaleństwa jedyne, czego nam nie potrzeba, to załatwianie dodatkowych formalności i długie oczekiwanie na decyzję. Wiedzą o tym doskonale w Banku Zachodnim WBK, dlatego decyzja kredytowa podejmowana jest już w kilka minut od momentu złożenia wniosku.

„Kredyt bez zaświadczeń" dostępny jest dla klientów nieposiadających produktu kredytowego w Banku lub dla klientów posiadających regularne wpływy z tytułu wynagrodzenia na konto osobiste potwierdzone historią konta z BZWBK lub z innego banku (nie dotyczy klientów otrzymujących dochód z tytułu prowadzenia działalności gospodarczej).

Szczegóły oferty, informacje o opłatach, prowizjach, oprocentowaniu oraz regulamin promocji „Kredyt 4%", z której można skorzystać do 31.01.2017 r., dostępne są w placówkach banku oraz na bzwbk.pl. Infolinia 1 9999 – opłata za połączenie zgodna z taryfą danego operatora. Stan na 1.11.2016 r.

FIDEL CASTRO PO ŚMIERCI, PODOBNIE JAK ZA ŻYCIA, PODZIELIŁ OPINIĘ PUBLICZNĄ

Śmierć Fidela, to koniec epoki Początek nowej?

Były przywódca Kuby, Fidel Castro zmarł wieku 90 lat. Symbol kubańskiej rewolucji rządził krajem przez niemal 50 lat. Na Kubie trwa żałoba narodowa, emigranci świętują

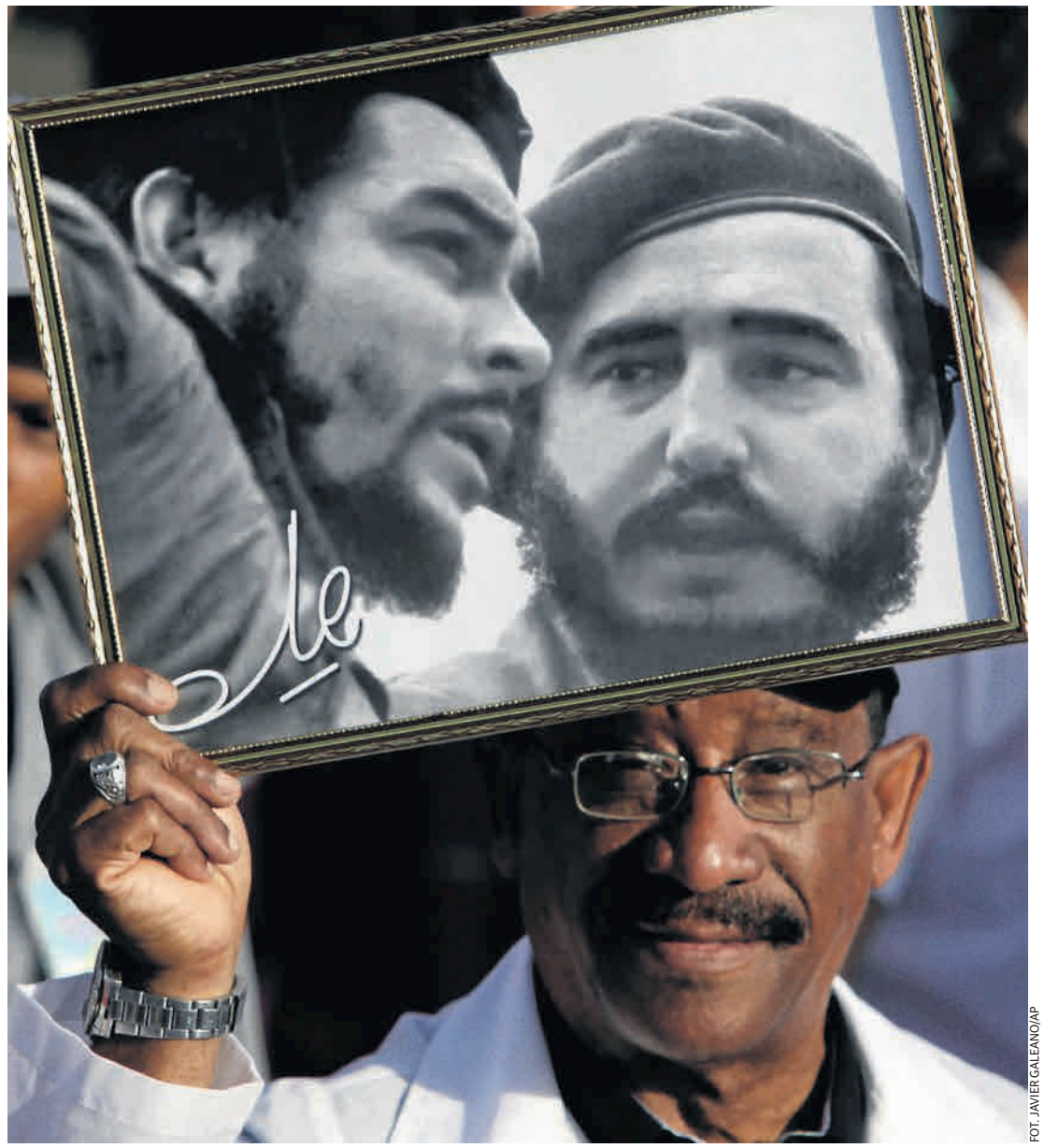

FOT. JAVIER GALEANO/AP

▶ Castro był najdłużej panującym niekoronowanym przywódcą na świecie w XX wieku. Rządził w latach 1959- 2008

Kuba

Sylwia Arlak
s.arlak@polskatimes.pl

Komendant i przywódca rewolucji kubańskiej zmarł wieczorem (w piątek - red) o godz. 22.29 w Hawanie - oświadczył młodszy brat Fidela, Raul Castro na antenie państwowej telewizji wywołując natychmiastową reakcję całego świata.

Ciało Fidela, najdłużej panującego niekorowanego przywódcy na świecie w XX wieku - zgodnie z jego wolą - zostało skremowane. Na Kubie obowiązuje dziewięciodniowa żałoba narodowa, pogrzeb odbędzie się czwartego grudnia. Emigranci tymczasem świętują.

W Little Havana, dzielnicy Miami na Florydzie wiwatował tłum mieszkających tam Kubańczyków. Tańcząc, tuląc się do siebie i machając kubańskimi flagami manifestowali swoje poglądy. - Nie sądzę, aby śmierć tyrana oznaczała wolność dla narodu kubańskiego - przekonywał Ramon Raul Sanchez, lider organizacji kubańskich emigrantów „Ruch Demokracja".

Dla jednych Fidel Castro był bohaterem, dla innych despotą. Urodził się w 1926 roku w prowincji Oriente. W 1956 roku stanął wraz z Che Guevarą na czele partyzanckiej rewolucji przeciwko reżimowi Fulgencia Batisty. Po zwycięstwie rewolty w 1959 roku został zaprzysiężony na premiera i szybko zawarł sojusz ze Związkiem Radzieckim.

Odparł wspieraną przez CIA inwazję w Zatoce Świń w 1961 roku, a rok później doprowadził do kryzysu kubańskiego, kiedy wyraził zgodę na umieszczenie na Kubie radzieckich rakiet nuklearnych.

Castro znacjonalizował gospodarkę, którą wkrótce zaczęły trapić problemy typowe dla krajów socjalistycznych. Dodatkowo trudną sytuację pogłębiało embargo gospodarcze ze strony Stanów Zjednoczonych. Z wyspy uciekały do USA przed kryzysem i prześladowaniami ze strony komunistycznego reżimu tysiące uchodźców. To pieniądze przysyłane przez nich do swoich rodzin częściowo utrzymywały gospodarkę kraju.

Po upadku ZSRR w latach 90 skończył się napływ pomocy ekonomicznej ze strony dawnego sojusznika i Kuba zaczęła się w błyskawicznym tempie staczać w potężny kryzys gospodarczy. Castro, który słynął z żelaznego zdrowia i wielogodzinnych przemówień na wiecach partyjnych do końca głosił hasła, że „rewolucja zwycięży" i „socjalizm albo śmierć". W więzieniach trzymał do końca swych rządów setki opozycjonistów, a ich rodziny szykanował.

Kondolencje w stronę rodziny rewolucjonisty i pochlebstwa dla zmarłego od wielu światowych przywódców, mocno podzieliły opinię publiczną. Nie takiej reakcji się spodziewano.

Śmierć kubańskiego rewolucjonisty z żalem przyjął m.in francuski prezydent, Francois Hollande. - Castro był jedną z najważniejszych postaci XX wieku. On wcielił kubańską rewolucję, zarówno w swoich nadziejach i kolejnych rozczarowaniach - napisał w oświadczeniu Hollande.

Szef komisji europejskiej, Jean- Claude Juncker stwierdził: - Po śmierci Fidela Castro, świat stracił człowieka, w którym wielu widziało bohatera. Zmienił bieg historii kraju, a jego wpływy sięgały jeszcze dalej.

Premier Kanady, Justin Trudeau napisał: - Legendarny rewolucjonista i mówca zrobił wiele dla poprawy edukacji i opieki zdrowotnej w swoim kraju. Choć był postacią kontrowersyjną, zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy polityka uznali jego ogromne poświecenie i miłość, jaką darzył Kubańczyków. - napisał w oświadczeniu Trudeau.

Ustępujący prezydent USA, Barack Obama podkreślał, że wpływ Fidela Castro na Kubę i świat ocenić może jedynie historia. Jednoznacznie pozytywnie ocenił Fidela Władimir Putin: - Wolna i niezależna Kuba, zbudowana przez Castro i jego towarzyszy, stała się wpływowym członkiem społeczności międzynarodowej i służyła jako inspirujący przykład dla wielu krajów i osób. Fidel Castro był szczerym, wypróbowanym prawdziwym przyjacielem Rosji - napisał rosyjski przywódca.

Z tej retoryki wyłamał się amerykański prezydent-elekt, Donald Trump nazywając Castro „brutalnym dyktatorem". Wyraził nadzieję, że jego śmierć przyniesie Kubańczykom spokój.

- Kuba pozostaje totalitarnie rządzoną wyspą, ale mam nadzieję, że dzisiejszy dzień będzie odrodzeniem obywateli tego kraju. Mam nadzieję, że wspaniali Kubańczycy będą mogli żyć jako wolni ludzie, tak jak na to zasługują - napisał Trump w oświadczeniu. I dodał: - Castro był brutalnym dyktatorem. Jego dziedzictwo to plutony egzekucyjne, kradzieże, nędza i cierpienie.

Co dalej z Kubą? Część ekspertów podkreśla, że obywatele kraju nie odczują zmian. Sprawujący władzę od 10 lat Raul Castro podziela bowiem wiele poglądów swojego brata. Cytowany przez CNN Sebastián Arcos z Cuban Research Institute w USA ocenia z kolei, że zwykli Kubańczycy z optymizmem patrzą w przyszłość.

- Latami wmawiano im, że zła sytuacja Kuby wynika z wrogiej postawy USA. Teraz żyją w przekonaniu, że wzajemne kontakty ulegają poprawie - ocenił analityk.

Dziennikarz „Miami Herald" Glenn Garvin w rozmowie z CNN ostrzega jednak, że relacje na linii Kuba- USA mogą pogorszyć się, gdy Trump obejmie w styczniu najważniejszy urząd w państwie. - Podoba mi się idea naprawienia relacji z Kubą, ale porozumienie musi być bardziej stanowcze, niż to, które proponował Obama - mówił jeszcze niedawno Trump. ● ©℗

POLSKA THE TIMES

Polska Metropolia Warszawska

REDAKCJA
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl

Redaktor naczelny
Paweł Siennicki, 22 201 42 00

Zastępca redaktora naczelnego Internet, Kraj i Magazyn
Arlena Sokalska, 22 201 42 00
a.sokalska@polskatimes.pl

Forum Agaton Koziński, 22 201 44 74
a.kozinski@polskatimes.pl

Świat i Sport, Agencja AiP
Redaktor naczelny
Wojciech Rogacin, 22 201 42 00
w.rogacin@polskatimes.pl

Foto Sylwia Dąbrowa, 22 201 42 20
s.dabrowa@polskatimes.pl
Bartek Syta, 22 201 42 31
b.syta@polskatimes.pl

Dyrektor artystyczny
Tomasz Bocheński, 22 201 42 00
tomasz.bochenski@polskapress.pl

www.polskatimes.pl
Marek Majewski, 22 201 43 61
marek.majewski@polskapress.pl

WYDAWCA
Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 41 00, faks: 22 201 44 10

Oddział w Warszawie
Prezes oddziału Aureliusz Mikos

Dział wydawniczy
Izabela Marciniak, 22 201 41 21

Kolportaż Olga Czyżewska-Tochowicz
22 201 41 00

PBC Polskie Badania Czytelnictwa

Nakład Kontrolowany ZKDP

Produkcja
Dorota Czerko, 22 201 41 00
Olga Czyżewska-Tochowicz

Projekty specjalne
Izabela Wilgan 22 201 42 65
izabela.wilgan@polskapress.pl

Marketing i patronaty
Małgorzata Burcewicz 22 201 44 35
malgorzata.burcewicz@polskapress.pl

Biuro reklamy
Marta Niwińska, 22 201 41 00
reklama.warszawa@polskapress.pl

Prenumerata
Olga Czyżewska-Tochowicz
olga.tochowicz@polskapress.pl
www.prenumerata.ruch.com.pl

POLSKA PRESS GRUPA

Polska Press Sp. z o.o
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 44 00, faks: 22 201 44 10

Prezes zarządu
Dorota Stanek

Wiceprezes zarządu
Dariusz Świąder

Członek zarządu
Paweł Fąfara

Członek zarządu
Magdalena Chudzikiewicz

Prezes biura reklamy
Wiktor Pilarczyk, 22 201 41 00

Dyrektor biura reklamy internetowej
Paweł Kossek, 22 201 44 36

Dyrektor artystyczny
Tomasz Bocheński, 22 201 42 00

Rzecznik prasowy
Joanna Pazio, 22 201 44 38,
joanna.pazio@polskapress.pl

DRUK
Polska Press Oddział Poligrafia
Drukarnia w Łodzi
ul. ks. I. Skorupki 17/19

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
©℗ – umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

ZMARŁY PRZYWÓDCA KOMUNISTYCZNEJ KUBY MIAŁ WIELKI APETYT NA KOCHANKI

Fidel i długa lista jego kochanek

Kuba

Przywódca kubańskiej rewolucji stanowił utrapienie nawet dla sojuszników. Niepohamowany apetyt na seksualne podboje **Fidela Castro**, kochanki, wyskok do burdelu, spędzały sen z powiek służbom specjalnym

Peter Millar
redakcja@polskatimes.pl

FOT. CHARLES TASNADI/AP

▶ **Fidel miał wiele związków z kobietami. Jedna z jego kochanek miała nawet próbować go otruć na zlecenie CIA**

Przypomnę pewne spotkanie. Rozmawialiśmy w kafejce położonej tuż przy dawnym ratuszu wschodniego Berlina Rotes Rothaus. Dziś jest on ratuszem stolicy zjednoczonych Niemiec. Naprzeciw mnie siedział były szef wschodnioniemieckich szpiegów owiany ponurą sławą Markus Wolf. W pewnym momencie odchylił się nieco do tyłu na krześle i powiedział – Oczywiście najtrudniejszym dla mnie orzechem do zgryzienia był Fidel Castro.

Zaskoczony zapytałem dlaczego. Przecież ówczesna Kuba była jednym z największych sojuszników NRD – wojska kubańskie razem z wschodnioniemieckimi służyły w Angoli. Były wieloletni szef Stasi uśmiechnął się tylko i odparł – Kobiety! Kobiety! Nigdy nie miał ich dosyć!

Podczas jednej z wizyt kubańskiego dyktatora we wschodnim Berlinie, po całym dniu parad i przemówień, ludzie z kierowanej przez Wolfa komórki odpowiedzialnej za bezpieczeństwo gościa zameldowali mu, że gość w tajemniczy sposób zniknął ze swojego hotelowego apartamentu. – Po prostu otworzył okno, wyskoczył i udał się wprost do pewnego nielegalnego burdelu – mówił śmiejąc się Wolf.

Oczywiście Stasi mogłaby „dostarczyć" Castro odpowiednie „dziewczyny". Jednak, jak twierdził Wolf, ten lubił postępować po swojemu. Pamiętajmy, że człowiek ten stał się on uosobieniem komunistycznej Kuby. Żył swoją rozdętą do granic niemożliwości legendą. Wszystko tu było przerysowane i przejaskrawione: słynna broda, palenie cygar – z powodów zdrowotnych porzucił je po pięćdziesiątce – wizerunek polityka machającego kijem bejsbolowym czy rozlatujący się jacht „Granma", którym rewolucjoniści dobili do brzegów Kuby, aby rozpocząć swoje dzieło.

Dużą część legendy Castro w kraju, który oficjalnie chwaląc się równością płci wciąż ceni sobie kulturę macho, stanowi jego miłość i pociąg do kobiet. Cały szereg kochanek – wśród nich jedna, która nawet próbowała go zabić. Oczywiście cenzurowana kubańska prasa nigdy nawet nie zająknęła się na temat jego miłosnych podbojów, ale stanowiły one tajemnice poliszynela.

Pierwszą żoną Castro była Mirta Diaz-Balart. Pobrali się w 1948 roku, gdy on sam jeszcze studiował prawo. Rozwód wzięli siedem lata później. W tym czasie Castro przebywał na wygnaniu w Meksyku. Brat Mirty był wysokim urzędnikiem znienawidzonego przez rewolucyjnie nastawionego młodzieńca reżimu ówczesnego dyktatora Kuby Fulgencio Batisty. W 1959 Castro obalił jego rządy.

Mirta była też matką ich syna Fidelito – „Fidelka" – najstarszego z ogólnej liczby przynajmniej dziewięciorga dzieci przyszłego władcy Kuby. Dokładnej liczby zapewne nigdy nie poznamy. Po rozwodzie zabrała synka ze sobą do Stanów Zjednoczonych.

Jednak przed zamachem stanu, który doprowadził do obalenia Batisty, Castro przekonał byłą już małżonkę, by zezwoliła synowi przyjechać odwiedzić go w Meksyku. Później nie zwróci już chłopca matce.

Fidelita wysłano do szkoły w Moskwie. Po latach wrócił na Kubę i został jednym z głównych krajowych specjalistów w dziedzinie energii nuklearnej. Jednak w 1992 roku sam ojciec wyrzucił go z pracy za rzekome fatalne zarządzanie placówką badawczą.

Pierwszą kochanką, jaka pojawiła się już w czasie pierwszego małżeństwa Castro, była Natalia „Naty" Ruvelta obdarzona kruczoczarnymi włosami mieszkanka Hawany i żona jednego z tutejszych kardiologów. Natalia urodziła mu córkę Alinę, która w 1993 – posługując się peruką i fałszywym hiszpańskim paszportem – zbiegła do Stanów Zjednoczonych.

Castro nie zamierzał jednak spoczywać na laurach. Zauroczyła go Celia Sanchez. Znał ją jeszcze z rewolucyjnych lat 50. Kobieta ta przez trzy dekady była jego osobistą asystentką i powierniczką. Zazdrośnie strzegła prywatności Fidela. Dopiero po jej śmierci w 1980 roku Castro ożenił się z inną długoletnią towarzyszką jego działań byłą nauczycielką Dalią Soto del Valle. Została ona jego ostatnią żoną. Urodziła mu pięcioro synów.

Na liście kochanek dyktatora znajdujemy też Juanę Vera nazywana Juanitą. Pracowała jako tłumacz na żywo z języka angielskiego, ale była też pułkownikiem państwowego wywiadu. Następnie pojawiła się kubańska stewardesa Gladys, która towarzyszyła mu w zagranicznych wizytach.

Bez wątpienia najdłużej trwał związek z Maritą Lorenz. Ta urodzona w Niemczech Amerykanka przybyła do Hawany tuż po wybuchu rewolucji mając zaledwie 19 lat. Pragnęła na własne oczy przekonać się, jak na tej karaibskiej wyspie powstaje nowy wspaniały świat.

Castro odwiedził statek, którym przypłynęła i natychmiast polubił rezolutną dziewczynę. Zamieszkała w stolicy i została jego kochanką. W pewnym momencie zaszła w ciążę, która została usunięta. Później miała utrzymywać, że na polecenie samego Castro. Sprawa jest do dziś otoczona mgłą tajemnicy. Wypłynęła do Miami. Niektórzy twierdzą jednak, że ją po prostu porwano. Miała obudzić się tam w szpitalu. Po pewnym czasie do współpracy wciągnęli ją agenci CIA. Przekazali jej pigułki z trucizną, z którymi wróciła do Hawany z zadaniem otrucia dyktatora.

Dużą część legendy Castro w kraju, gdzie ceni się kulturę macho stanowiły jego liczne miłości i pociąg do kobiet

Planu nie udało się jednak zrealizować. Lorenz odpłynęła z wyspy i wróciła na nią dopiero w 1981. W chwili obecnej w Hollywood trwają prace nad filmem pod tytułem „Marita". W rolę bohaterki ma wcielić się Jennifer Lawrence.

Kubańska opinia publiczna uznawała za rzecz naturalną, że tak delikatnie mówiąc „pełen męskiej werwy" przywódca prowadzi równie aktywne życie erotyczne. Jednak, nieliczne zresztą, szczegóły zaczęła poznawać dopiero pod koniec jego życia. Większość z nich ujawnił pracujący dla niego przez 17 lat jako ochroniarz Juan Reinaldo Sanchez, który w 2008 zbiegł do USA, a sześć lat później wydał w Hiszpanii książkę „Podwójne życie Fidela Castro".

Nie chodzi tylko o opowieści o szeregu kochanek. Poznaliśmy też mnóstwo szczegółów jednorazowych przygód z kobietami o „podejrzanej reputacji". O istnieniu jego ostatniej żony Dalii zwykli Kubańczycy dowiedzieli się dopiero w 2006 roku, gdy dyktator zaczynał już podupadać na zdrowiu i niedługo miał ustąpić jak przywódca.

Często twierdzono, że był niezdolny stworzyć jakikolwiek długotrwały związek z kobietą. Prawda jest jednak inna – zbudował wiele długich i trwałych związków, ale nigdy nie potrafił zadowolić się tylko jednym.

Po dekadach jego rządów większość zwykłych Kubańczyków urodzonych już po rewolucji ani nie uwielbiła ani nie nie cierpiała człowieka, którego znali jako po prostu „Fidela". Jego postać stała się częścią narodowego wizerunku Kuby. Jak mebel we własnym domu. Tyle, że na Kubie zakup dobrych mebli graniczy z cudem.

Doskonale pamiętam letnią wizytę na hawańskiej starówce w dniu jego 80. urodzin. Gapiłem się na zwisający z balkonu rozpadającej się XIX-wiecznej wilii kawał starego płótna, na którym wypisano czarną farbą: „Brawo, Fidel! Daj nam kolejne 80!" Oczywiście chodziło o lata, nie kochanki. ●

TŁUMACZENIE ZBIGNIEW MACH

SPRYTNY DYKTATOR, KTÓRY GRAŁ NA NOSIE AMERYKANOM

Castro – despota, który nigdy nie dał się Zachodowi i CIA

Dla kolejnych 11 administracji amerykańskich **Fidel Castro** był postacią znienawidzoną. CIA próbowało wielokrotnie go zgładzić, albo choćby pozbawić go brody – symbolu. On rządził jednak dłużej niż jakikolwiek demokratyczny przywódca

Kuba

Matthew Campbell
redakcja@polskatimes.pl

Fidel Castro miał szczęście do prób zamachów i dobierania mu się do skóry. Jednak żadna nie była aż tak naciągana i zupełnie nieprawdopodobna jak ta zakładającą, że przez użycie specjalnej substancji chemicznej – dodanej do pasty do czyszczenia butów – pozbawi się go bujnej, czarnej brody. Według speców z centrali CIA w Langley w Wirginii operacja taka podkopałaby jego autorytet, a w konsekwencji doprowadziła do upadku.

Udokumentowany opis tej tajnej akcji – a także innych zakładających użycie na przykład wiecznego pióra, z którego podczas pisania miała wyskoczyć nasączona trucizną igła czy eksplodującego w odpowiednim momencie cygara – znajdziemy w Muzeum Rewolucji w Hawanie. Stanowią one świadectwo powszechnej w trakcie zimnej wojny obsesji Amerykanów – za wszelką cenę odsunąć kubańskiego dyktatora od władzy.

Tak się jednak nie stało. Po obaleniu w 1959 roku reżimu Fulgencio Batisty Castro spędził na światowej scenie politycznej więcej czasu, niż jakikolwiek inny przywódca oprócz królowej Elżbiety. Ten uwielbiający godzinami głośno perorować tytan XX wieku „przeczekał" wszystkich kolejnych amerykańskich prezydentów i przekształcił swój niewielki kraj w jeden z ostatnich bastionów komunizmu.

Nawet gdy w 2006 choroba zmusiła go do przekazania władzy swojemu dziś 85-letniemu bratu Raulowi, wciąż był obecny za kulisami. Wciąż pociągał za wiele sznurków. Jego potężny i donośny niegdyś głos przybrał teraz formę niemal szeptu, włosy na brodzie posiwiały i uległy przerzedzeniu. Ale mimo to co jakiś czas pojawiał się znowu, aby zapewniać świat i Kubańczyków, że komunizm przetrwa na wieki.

Dla kolejnych 11 amerykańskich administracji był postacią znienawidzoną. Straszydłem. Postrachem. Totalitarnym despotą bez skrupułów wsadzającym do więzienia własnych obywateli. Marksistowską rewolucję próbował eksportować do różnych krajów na całym świecie. W czasie kryzysu kubańskiego w 1962 roku doprowadził glob niemal na krawędź przepaści, bo jak się później okazało – na szczęście na próżno – prosił ZSRR, by jako pierwszy zaatakował nuklearnie „jankeskich imperialistów".

FOT. RHS/AP

▶ Castro wobec Zachodu był tak bezwzględny, jak wobec opozycji

Jednak dla europejskiej lewicy – choćby dla byłej francuskiej pierwszej damy Danielle Mitterand – stanowił ikonę. Bohatera wyzwalającego Kubańczyków od skorumpowanego i wspieranego przez USA reżimu, który przekształcił Hawanę w plac zabaw dla bogatych amerykańskich turystów i mafiosów.

W najwcześniejszym okresie, gdy Castro z towarzyszami walczył jeszcze w górach, świat interpretował wątpliwości na jego korzyść. Jego rewolucja od początku zdawała się skazana na porażkę. W 1956 30-letni wówczas przyszły dyktator razem z garstką zwolenników dotarł do wybrzeży Kuby na jachcie „Granma". Tu jednak czekały już na nich reżimowe wojska. Prasa całego świata donosiła, że przywódcę partyzantki zabito w walkach, do których doszło tuż po dobiciu jednostki do brzegu. Jednak przeżył, aby znów podjąć walkę.

Jeszcze tego samego roku lojalni wobec niego bojownicy skontaktowali się z amerykańskim dziennikarzem Herbertem L. Matthewsem, którego w góry w celu przeprowadzenia wywiadu z przywódcą przetransportowano w przebraniu bogatego plantatora. – Naprawdę kawał chłopa. Potężny, sporo ponad 180 cm wzrostu, oliwkowa cera, pełna twarz i zwichrzona broda – pisał później Matthews.

Ten życzliwy portret Castro połączony z informacją, że jednak przeżył dobicie do brzegu, nadały kampanii partyzanckiej nowy impet. W 1959 r. twórca Bonda Ian Fleming wówczas także pracownik wywiadu i szef działu zagranicznego „The Sunday Times" wysłał na Kubę dziennikarza Normana Lewisa. Miał on za zadanie wybadać szanse obalenia przez Castro reżimu Batisty.

Lewis wspominał później dwa niezwykle barwne spotkania, jakie odbył w Hawanie. Pierwsze z Edem Scottem, który miał w swoim biurze zabawiać się z nagimi kobietami i nosił spinki wykonane ze zużytych naboju. To na nim częściowo wzorował Fleming postać Jamesa Bonda. Drugie – z Ernestem Hemingwayem, który w tym czasie miał zwyczaj wypijać na poczekaniu sporą ilość francuskiego aperitifu Dubonnet. – Nic mi nie powiedział, ale nauczył więcej, niż chciałem wiedzieć – wspominał rozmowę ze słynnym pisarzem Lewis.

W chwili gdy wczesnym rankiem 1 stycznia 1959 roku Batista odlatywał z Hawany Fidel Castro stawał się już żywą legendą.

Jeden z jego pierwszych kroków polegał na postawieniu przed sądem kapturowym pół tysiąca urzędników reżimu. Zostali skazani, wyprowadzeni z cel i rozstrzelani. Przerażony naród mógł oglądać czarno-białą relację z egzekucji nadawaną przez amerykańską telewizję. Castro bronił decyzji jako zła koniecznego dla okrzepnięcia rewolucji. Jednak międzynarodowa opinia publiczna dostała pierwszy sygnał ostrzegawczy – ten człowiek nie jest zwolennikiem poszanowania wolności.

Jedną z najbardziej barwnych postaci we wczesnym otoczeniu przywódcy kubańskiej rewolucji był Ernesto Guevara. Ten palący cygara argentyński lekarz w nieodłącznym berecie na głowie stanie się ikoną lewicy w takim samym stopniu, co i sam Fidel. Jego życie i udział w rewolucji przypomnieli ponad dekadę temu twórcy filmu „Dzienniki motocyklowe". Guevara nie miał pojęcia o gospodarce, ale Castro mianował go szefem banku narodowego. Nowe kubańskie banknoty podpisywał przydomkiem „Che".

Nic jednak nie dzieje się w próżni. Nasilała się opozycja wobec przywódcy. W 1961 roku liczącą 1.5 tys. ludzi armia sformowana z uchodźców przy pomocy CIA podjęła próbę „odbicia" Kuby. Koncepcja polegała na dotarciu do południowych brzegów Zatoki Świń i założeniu tam przyczółka. Castro pamiętał jednak własną lekcję historii – tym razem to on czekał na przybyszów. Większość z nich schwytano lub zabito.

Za chwilę świat czekał już nowy dramat. W 1962 r. lecące nad Kubą amerykańskie samoloty szpiegowskie wykryły konstrukcje służące budowie silosów dla zdolnych przenosić głowice nuklearne rakiet średniego zasięgu mogących dotrzeć do terytorium USA.

13 dni trwały pełne napięcia polityczne „przepychanki" między prezydentem Johnem F. Kennedym i ówczesnym I sekretarzem KC KPZR Nikitą Chruszczowem. Kryzys mógł zanurzyć świat w wojnie nuklearnej, której skutków mogły okazać się katastrofalne. Castro wysłał do Rosjan tajną depeszę nalegając, by uderzyli na USA. Chruszczow miał odpowiedzieć, że taka prośba równa się zaatakowaniu jako pierwszy terytorium wroga, co oznacza początek wojny termonuklearnej.

Po uzyskaniu zapewniania, że Ameryka usunie swoje rakiety z terytorium Turcji i nie dokona inwazji na Kubę, Rosjanie wycofali własny arsenał z Kuby i rozebrali bazy. Jednak ich obecność na wyspie dalej wzrastała, co poskutkowało między innymi… pojawieniem się licznej generacji blond Kubańczyków o niezbyt swojskich imionach jak Władimir czy Siergiej. Setki obywateli Kuby studiowały w ZSRR i w innych krajach bloku wschodniego.

Castro zaczął prześladować Kościół katolicki i tworzyć komitety obrony rewolucji mające za zadanie rozprawę z opozycjonistami – a przy okazji i homoseksualistami – których skazywano na kary więzienia lub roboty przymusowe.

Zawsze usiłował odgrywać rolę globalnego gracza w walce o „zwycięstwo komunizmu". Teraz zaczął więc eksportować rewolucję, gdzie tylko się dało. Dla wspierania walk marksistowskich partyzantek wysyłał do Angoli, Etiopii czy Mozambiku tysiące kubańskich żołnierzy.

Jednak na samej Kubie sytuacja zaczynała przybierać zły obrót. Coraz bardziej wrogo nastawiony do Moskwy Guevara skłócił się z Castro i wyruszył do Boliwii wesprzeć miejscowych powstańców. W 1967 schwytano go i stracono.

Liczne próby CIA pozbycia się Castro wywierały jedynie skutek odwrotny do zamierzonego. Dowody na kolejne spiski na jego życie dyktator wykorzystywał do pobudzania nastrojów lęku przed amerykańską inwazją i ożywiania poparcia dla rewolucji.

Zezwolił amerykańskim Kubańczykom po raz pierwszy odwiedzić mieszkające na wyspie rodziny. Decyzja na krótko poprawiła stosunki z USA. Jednak w 1980 doszło do niezwykłego i dziwacznego wydarzenia – próbując uśmierzyć społeczne niezadowolenie Castro pozwolił 125 tys. Kubańczyków opuścić kraj. Do tego celu używali łodzi, tratw czy wręcz zwykłych dętek od kół samochodowych. Okazało się, że wielu z tych „boat people" odbijających od brzegu w porcie Mariel stanowią zwalniani z zakładów karnych więźniowie i pacjenci szpitali psychiatrycznych. Dyktator miał nadzieję, że przyczynią się oni do wzniecenia chaosu i zamętu na „ziemi wroga".

Rozpad ZSRR – przez dekady niezwykle hojnie wspierał wyspę gospodarczo – zdawał się przekreślać szanse kubańskiego reżimu na dalsze trwanie. Nic z tego. Castro dzielnie trwał na stanowisku. Ba, zaczął nawet eksperyment ze swoistą ograniczoną formą kapitalizmu. Reżim przymykał oko na małe rodzinne biznesy – na przykład knajpki we własnym domu. Rolnikom pozwolono sprzedawać swoje produkty po cenach rynkowych. Zagraniczne firmy mogły otwierać hotele.

Takie posunięcia nie wystarczyły jednak do uciszenia krytyków. Skutek? Aresztowania setek działaczy opozycyjnych głośno domagających rozpisania wyborów.

W 1998 roku Kubę odwiedził Jan Paweł II. Podczas pielgrzymki wyrażał obawy o poszanowanie na wyspie praw człowieka, ale krytykował też amerykańskie embargo jako „niesprawiedliwe i etycznie nie do zaakceptowania", co pozwoliło Castro odtrąbić polityczne zwycięstwo.

Ostatni raz schorowany dyktator pojawił się publicznie w kwietniu na VII Kongresie Komunistycznej Partii Kuby. Gdy wyrażał zdziwienie z racji dożycia do dziewięćdziesiątki, obserwatorzy zwracali uwagę, że drżą mu ręce. Pożegnał się z partią. – Wkrótce stanie się ze mną to, co ze wszystkimi. Na wszystkich nas przychodzi kolej, ale ideały kubańskiego komunizmu będą trwać dalej – powiedział Fidel Castro. ●

TŁUMACZENIE ZBIGNIEW MACH

FIDEL CASTRO, ŚWIADEK HISTORII

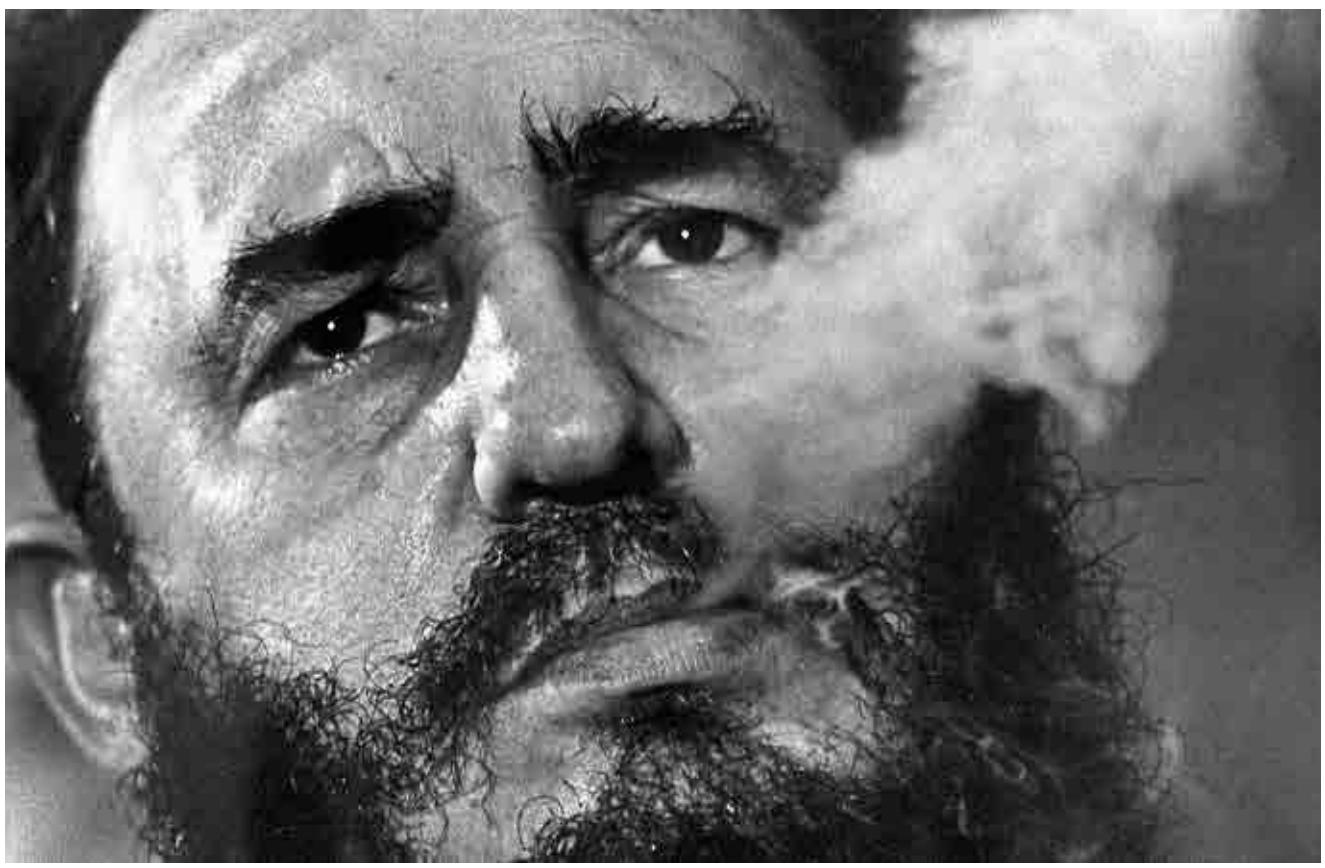

▶ Marzec 1985 r. Fidel Castro pali cygaro podczas wywiadu prasowego, jaki miał miejsce w pałacu prezydenckim w Hawanie. Dyktator uwielbiał cygara, kubańską markę Cohiba stworzono specjalnie dla niego. Dziś należy do jednej z bardziej ekskluzywnych

▶ Historyczna wizyta Jana Pawła II na Kubie w 1998 r. była szeroko komentowana przez prasę na całym świecie

El Comandante, wyjątkowy dyktator

Rządził Kubą niemal 50 lat. Spotykał się z najważniejszymi ludźmi na świecie. Mimo że był komunistą, przyjął krzyżyk, jaki podarował mu Jan Paweł II podczas wizyty na wyspie

▶ Wrzesień 1960 r. Castro i Nikita Chruszczow na sesji ONZ w NY

▶ Czerwiec 1972 r. Fidel Castro podczas wizyty na Śląsku. Otrzymał od górników insygnia zawodu, w tym czapkę

▶ Lipiec 1959 r. Fidel Castro i W.A. Reiford, który przybył na Kubę otworzyć sierociniec

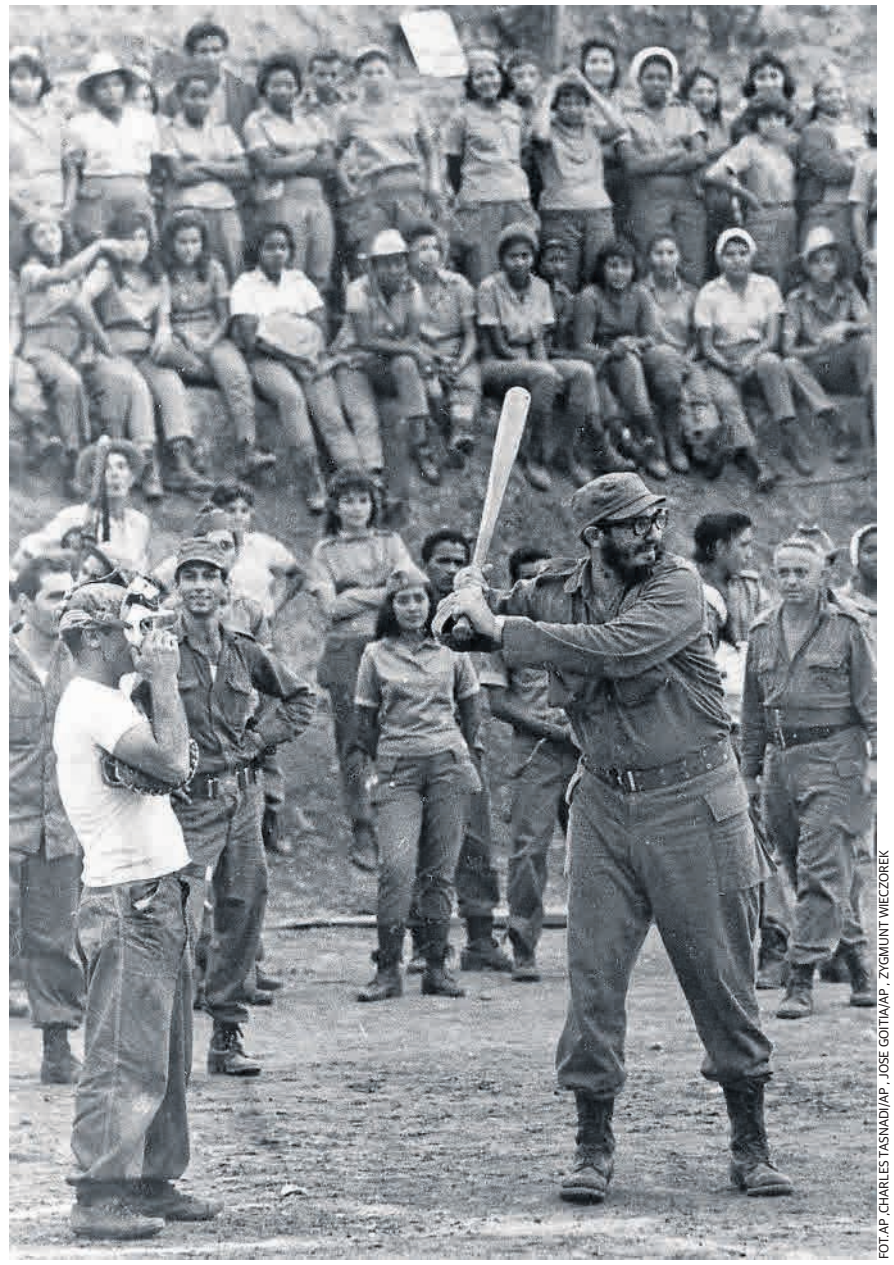

▶ Czerwiec 1962 r. Castro gra w baseball w szkole dla nauczycieli w Sierra Maestra. Baseball jest na Kubie niemal tak popularny, jak w Stanach Zjednoczonych

FOT. AP, CHARLES TASNADI/AP, JOSE GOITIA/AP, ZYGMUNT WIECZOREK

Zachowują się gorzej niż zwierzęta

Ponad 83 procent sprawców przemocy wobec zwierząt to mężczyźni, zwykle w wieku 50–59 lat. Sądy podchodzą do nich coraz surowiej, ale to nie wystarcza. Jesteśmy wciąż barbarzyńcami – wynika z raportu „Niech mają prawa"

Społeczeństwo

Tomasz Kapica
tkapica@nto.pl

W Kędzierzynie-Koźlu policja szuka sprawcy jednego z najbardziej wstrząsających mordów na zwierzęciu, z jakim mieliśmy do czynienia w ostatnich latach. Dokładnie tydzień temu mieszkaniec osiedla Blachownia podczas spaceru w niewielkim zagajniku znalazł powieszonego na lince psa. Linka była przytwierdzona do gałęzi. Zwierzę niestety już nie żyło. Policjanci na miejscu zebrali wiele śladów, zabezpieczono także truchło psa. Nieoficjalnie mówi się, że mogą się na nim znajdować ślady, które ułatwią dotarcie do sprawcy. Brutalny czyn wstrząsnął mieszkańcami. Jeśli sadysta zostanie złapany, to niewykluczone, że trafi za kraty. Czego zresztą domagają się bardzo licznie internauci, którzy z oburzeniem komentują jego bestialski czyn na forach internetowych.

Kiedyś karą była głównie grzywna

- W ostatnich latach uległa zmiana nastawienia społeczeństwa do takich czynów, podobnie jak orzecznictwo sądów - przyznaje sędzia Waldemar Krawczyk z Sądu Okręgowego w Opolu. - Szkodliwość takich czynów sądy oceniają znacznie wyżej. Kiedyś orzekały najczęściej kary grzywny, później wyroki w zawieszeniu. Teraz coraz częściej sądy decydują się na kary bezwzględnego ograniczenia albo pozbawienia wolności. Zdaniem sędziego bardzo dotkliwe mogą być kary ograniczenia wolności, czyli zmuszenie na przykład do pracy społecznych. Solidną karą dla sprawców może być także orzeczenie o konieczności wpłaty dużej kwoty na rzecz jednego ze stowarzyszeń walczących z przemocą wobec zwierząt. Bo mało co tak boli, jak mocne uderzenie po kieszeni. Ale przedstawiciele organizacji prozwierzęcych uważają, że wciąż wymiar sprawiedliwości jest zbyt łaskawy dla zwyrodnialców.

FOT. DARIUSZ GDESZ

▶ **Pies – najlepszy przyjaciel człowieka, nie zawsze może liczyć na odwzajemnienie uczucia.**

Wymiar sprawiedliwości był zbyt łagodny.
W połowie spraw rozpatrywanych przez badane sądy w latach 2012–2014 nie orzeczono wobec sprawców przestępstw przeciwko zwierzętom żadnych kar. Średnia wysokość zasądzonej nawiązki wyniosła 740 zł, najniższa 50 zł, a najwyższa 4000 zł.

Fundacja Czarna Owca Pana Kota i Stowarzyszenie Ochrony Zwierząt Ekostraż przygotowały raport pt. „Jak Polacy znęcają się nad zwierzętami". Autorzy ustalili, że wciąż ponad 74 procent spraw o przestępstwa przeciwko zwierzętom kończy się odmową wszczęcia lub umorzeniem dochodzenia. Tylko ok. 19 procent postępowań znajduje swój finał w sądzie. Zasadniczą przyczyną odmów wszczęcia oraz umorzeń dochodzeń w sprawach o przestępstwa przeciwko zwierzętom jest brak „faktycznych podstaw oskarżenia" oraz brak „ustawowych znamion czynu abronionego". Innymi słowy bardzo trudno jest udowodnić winę sprawcy, bo na przykład sąsiedzi niechętnie świadczą przeciwko podejrzanym.

- Ofiarami przestępstw z ustawy o ochronie zwierząt są przede wszystkim zwierzęta domowe, ponad 83 procent. A ich głównymi sprawcami - mężczyźni, także ponad 83 procent - wyjaśnia Dawid Karaś, autor raportu. Sprawcy przestępstw przeciwko zwierzętom są skazywani przede wszystkim na kary pozbawienia wolności. Wykonanie 86 procent tych kar jest warunkowo zawieszane przez sądy na okres próby. - Kary bezwzględnego więzienia orzekane były przez sądy sporadycznie jako wyjątek od zasady jej nieorzekania - podkreśla Dawid Karaś.

Najwyższa nawiązka to 4000 zł

Sądy najrzadziej wymierzały skazanym karę ograniczenia wolności (ponad 17 procent orzeczonych kar). W połowie spraw rozpatrywanych przez badane sądy w latach 2012–2014 nie orzeczono wobec sprawców przestępstw przeciwko zwierzętom żadnych kar. Jeśli je orzekano, to głównie w formie nawiązki na cel związany z ochroną zwierząt. Średnia wysokość zasądzonej nawiązki wyniosła 740 zł, najniższa 50 zł, a najwyższa 4000 zł. Również liczba ujawnianych przez policję wykroczeń z ustawy o ochronie zwierząt jest znikoma. Sprawy te kończą się na ogół nałożeniem mandatu karnego na sprawcę. Sprawy trafiające do sądów dotyczą na ogół niewłaściwych warunków utrzymywania zwierząt domowych lub gospodarskich. Sądy orzekają wobec sprawców wykroczeń przede wszystkim karę grzywny. Przedstawiciele organizacji upominających się o prawa zwierząt uważają, że wysokości kar zasądzanych wobec sprawców nie jest zbyt dolegliwe i społecznie satysfakcjonujące. I podają przykłady: kara dwóch miesięcy pozbawienia wolności z jej warunkowym zawieszeniem za bicie tchórzofretki drewnianą pałką i wyrzucenie jej na śmieci. Podobnie jak 4 miesiące pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem wykonania orzeczone za poderżnięcie gardła kotu czy 6 miesięcy pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem wykonania za znęcanie się nad kotem ze szczególnym okrucieństwem poprzez jego wrzucenie do pieca centralnego ogrzewania. - Sędziowie wykazują się niebywałą łagodnością wobec sprawców, nawet jeśli odpowiadają oni jednocześnie za popełnienie dwóch przestępstw przeciwko zwierzętom dokonanych ze szczególnym okrucieństwem - przekonuje autor raportu.

Agresja bierze się ze złego wychowania

Co ciekawe, to właśnie w Kędzierzynie-Koźlu zapadł pierwszy w Polsce surowy wyrok za zabicie szczeniąt, co przez wiele lat było i do dzisiaj jest dość częstą praktyką pozbywania się niechcianych miotów, zwłaszcza na wsiach. Tam społeczne przyzwolenie na takie zachowania wciąż jest zbyt duże. Do bestialskiego czynu doszło 10 czerwca 2013 roku. Jerzy S. zabrał miot suce, którą trzymał w gospodarstwie, i wsadził do reklamówki. Potem poszedł do lasu. Tam zabił psy uderzając reklamówką kilkakrotnie o drzewo.

Ornitolog, który w pobliżu prowadził badania, usłyszał kwilenie piesków. Chwilę potem znalazł reklamówkę, a w niej cztery martwe zwierzęta i trzy w stanie agonalnym. Ciężko ranne szczeniaki zostały humanitarnie uśpione przez weterynarza, a sprawą zajęła się policja, który ustaliła, że sprawcą jest właśnie Jerzy S. Prokuratura i przedstawiciel Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Kędzierzynie-Koźlu wnioskowali o 4 miesiące bezwzględnego więzienia. Sąd był bardziej surowy i skazał winnego na 8 miesięcy.

Skąd się bierze agresja wobec zwierząt? Zdaniem zoopsychologa Joanny Kosińskiej – przede wszystkim ze złego wychowania. - Żyjemy w kulturze, w której zwierzę ma służyć człowiekowi i w związku z tym jest traktowane jako coś gorszego - tłumaczy Joanna Kosińska. - Nie uczymy dzieci, że zwierzęta także cierpią i czują. Podobnie rzecz ma się, jeśli weźmiemy pod uwagę prawo. Gdy ktoś skrzywdzi człowieka, wie, że czeka go za to odpowiedzialność karna. Ale jeżeli ktoś skrzywdzi psa, to szkodliwość czynu jest uznawana za znikomą.

Kim są osoby znęcające się nad zwierzętami? Okazuje się, że w bardzo wielu przypadkach są to ludzie, którzy dopuszczają się także przemocy wobec członków najbliższej rodziny. Tadeusz J. z Nysy od 2006 roku znęcał się nad swoją żoną. Po pijaku wszczynał awantury domowe, szarpał ją za ubrania, popychał, uderzał rękami po głowie, dusił, groził pozbawieniem życia. Rzucał też w nią różnymi przedmiotami. Kiedyś w napadzie furii włożył mieszkającego z nimi kundelka do pralki i włączył tryb pracy. Zwierzę zdechło w męczarniach. Wtedy żona nie wytrzymała i opowiedziała o wszystkim policjantom. Sąd Rejonowy w Nysie skazał go na łączną (za znęcanie się nad żoną i zwierzęciem) karę 2 lat i 6 miesięcy pozbawienia wolności.

Fundacja Czarna Owca Pana Kota i Stowarzyszenie Ochrony Zwierząt Ekostraż przenalizowały wiele wyroków sądowych z ostatnich lat. Sprawcami przestępstw i wykroczeń przeciwko zwierzętom byli przede wszystkim mężczyźni - 83 procent, ale autorzy raportu zwrócili uwagę, że liczba kobiet, które dopuściły się takich przestępstw, wzrosła w ciągu kilku lat dwukrotnie. Kobiety, jak wynika z lektury wyroków sądowych, potrafią być wyjątkowo okrutne wobec zwierząt. W latach 2012–2014 sądy skazywały kobiety za takie formy przemocy wobec zwierząt jak np. ugodzenie psa nożem w okolice żeber, wyrzucenie psa przez okno, utopienie młodego kota w sedesie, a następnie wrzucenie go do pieca centralnego ogrzewania czy też uduszenie 6-miesięcznego psa.

Kary za takie przestępstwa mają być wyższe

Statystycznym sprawcą przestępstw przeciwko zwierzętom w latach 2012–2014 był mężczyzna w wieku od 50 do 59 lat, zamieszkujący raczej na wsi, który za popełniony czyn został skazany przez sąd na karę podstawową pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem jej wykonania na okres próby. Statystyczna sprawczyni przestępstwa przeciwko zwierzętom w latach 2012–2014 to także kobieta w wieku od 50 do 59 lat zamieszkująca na wsi. Młodociani sprawcy przestępstw przeciwko zwierzętom (tj. osoby w wieku od 17 do 21 lat) to także przede wszystkim mężczyźni (78 procent).

Ministerstwo Sprawiedliwości planuje zaostrzenie kar wobec sprawców przemocy wobec zwierząt. Chodzi przede wszystkim o zwiększenie kar za zabijanie i znęcanie się nad nimi z 2 do 3 lat pozbawienia wolności. W przypadku dokonania tego ze szczególnym okrucieństwem kara wzrośnie do 5 lat.

Mowa jest też o wprowadzeniu obligatoryjnego, a zatem nieuchronnego dla sprawcy orzekania przez sąd nawiązki w wysokości od 1000 zł do 100 tysięcy zł, na cel związany z ochroną zwierząt. Przypomnijmy, najwyższa zasądzona dotąd nawiązka wyniosła 4 tysiące złotych. Proponowane są też zmiany dotyczące zakazu wykonywania zawodów związanych z kontaktem ze zwierzętami. Fakultatywne będzie orzeczenie takiego zakazu przy podstawowym typie czynów karalnych popełnianych na zwierzętach. Natomiast obligatoryjne - przy znęcaniu się ze szczególnym okrucieństwem. ●

REKLAMA 016804310

Rynek sztuki

Fałszywego Kossaka sprzedam od zaraz. Wraz z certyfikatem, także podrobionym

Kolekcjoner kupił obraz po okazyjnej cenie. Oryginał wisi w muzeum. Nabywca stracił 30 tysięcy złotych

Artur Drożdżak
a.drozdzak@gk.pl

Żona spojrzała na męża, który wyglądał na szczęśliwego, że do swojej kolekcji zdobędzie autentyczny obraz Wojciecha Kossaka datowany na n1935 r. - Kochanie, to najważniejsza rzecz, jaką kupuję w życiu - nie krył 66-letni Sławomir K. (inicjały zmienione) Jakiś czas później dowiedział się, że oryginalne dzieło wisi spokojnie w Muzeum Sztuki w Łodzi, a obraz w jego salonie jest tylko jego lichą podróbką. I tak na marne poszło jego 30 tys. zł.

Sławomir K. wszyscy zwyczajowo nazywają Sławkiem, to znana postać na Podhalu, artysta, kolekcjoner amator - tak o sobie mówi. Obrazy kupował to tu, to tam, większość za pośrednictwem portalu aukcyjnego Allegro.

Maćka z Gniezna poznał przy okazji nabycia zabytkowego mebla. Gość osobiście przywiózł barokową szafkę, przy okazji zauważył, że gospodarz pasjonuje się malarstwem. Zaproponował mu wówczas kupno obrazu Wojciecha Kossaka „Ranny kirasjer i dziewczyna". Wskazał, że dzieło też jest wystawione na internetowej aukcji. Sławek był posiadaczem własnej pracowni plastycznej i od dziecka kochał malarstwo Kossaków. Nie mógł zignorować propozycji Maćka.

Wymienili wiele SMS-ów i maili, dziesiątki razy rozmawiali przez telefon. Oferta kupna Kossaka za 65 tys. zł cały czas była aktualna. O jego autentyczności świadczyła ekspertyza z 1984 r. najwybitniejszego w Polsce znawcy Kossaków, nieżyjącego już Kazimierza Olszańskiego. Maciek dokument oferował w pakiecie z obrazem.

- Zakup wydał mi się dobrą inwestycją, obraz na rynku bez takiej ekspertyzy to kwota 4 tys. zł - nie krył Sławek przed najbliższymi. Był szczęśliwy, że będzie miał dzieło. Miało być perłą w jego kolekcji.

Był w euforii, bo wydawało mu się, że taka szansa na rynku antykwarycznym to rzadkość. Zaufał Maćkowi, którego zaczął cenić za wiedzę o realiach rynku sztuki. Wiedział, że Maciek kiedyś miał galerię z obrazami, a na co dzień prowadzi firmę zajmującą się renowacją starych mebli.

- Sprawiał wrażenie fachowca - Sławek powie potem o nim prokuratorowi.

Słowo „wrażenie" jest tu kluczowe. Podobne odczucia dotyczące Maćka mieli i inni. Srodze się zawiedli.

Transakcja

Gdzieś w czerwcu 2013 roku doszło do finalizacji transakcji.

Maciek z żoną przyjechał z Wielkopolski swoim autem. Ramę przymocował do dachu pojazdu, a cenny obraz fachowo zwinięty w rulon długą podróż odbył w bardziej komfortowych warunkach.

Panowie się porozumieli, że Sławek przy odbiorze Kossaka zapłaci 30 tys. zł, a drugą ratę, czyli 35 tys. zł, przekaże dokładnie za rok. Maciek dał Sławkowi oryginalną ekspertyzę Olszańskiego.

Tak przy okazji gość poprosił gospodarza o pokazanie mu kolekcji współczesnych malarzy. Wybrał 12 obrazów, każdy o wartości tysiąca złotych.

Po pewnym czasie syn Sławka, absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, zwrócił ojcu uwagę, że obraz jest zbyt „gładko" namalowany, bez typowego temperamentu właściwego dla Kossaka.

FOT. MUZEUM SZTUKI

„Ranny kirasjer i dziewczyna" Wojciecha Kossaka. Oryginał wisi w galerii Muzeum Sztuki w Łodzi

Jednak wątpliwości Sławka rozwiała ekspertyza dołączona do dzieła.

Pół roku później na Allegro Sławek znalazł kolejną ofertę Maćka.

Tym razem handlarz oferował za 22 tys. zł obraz Jerzego Kossaka „Wesele krakowskie"; w pakiecie była też ekspertyza potwierdzająca autentyczność dzieła.

Sławek powiększył Kossaka na ekranie monitora i stwierdził, że obraz jest falsyfikatem. Był przekonany, że pod autentyczną ekspertyzę ktoś przygotował podrobiony obraz.

Zadzwonił do Maćka i zwrócił mu uwagę, że to, co wystawia jest „fatalnym kiczem". Ostrzegł, że podda też badaniu dzieło, które od niego kupił.

Za pośrednictwem znajomych zdobył nazwiska wybitnych znawców twórczości Kossaków. Miał zamiar poprosić ich o ocenę swojego dzieła.

Pod lupą

Wcześniej jednak wziął do ręki lupę i zaczął badać obraz na własną rękę. Sprawdzał też linijka po linijce zapisy z ekspertyzy.

Zdumiony odkrył, że są w niej opisy szczegółów, których nie było na jego obrazie. Z opinii wynikało, że ranny kirasjer ma głowę przepasaną chustą, a na jego obrazie twarz zakrywał pas wojskowy. Ekspertyza stwierdzała, że dziewczyna ma kolorową chustę na głowie, a na obrazie była jednolita - brązowa.

Grupa Vinci
Małopolska policja kryminalna jako jedyna w Polsce ma wyspecjalizowaną jednostkę, mającą na koncie sukcesy w zwalczaniu złodziei i fałszerzy dzieł sztuki. Szef Grupy Bartłomiej Morek mówi, że w opisywanej przez nas sprawie oszust dysponował podrobioną ekspertyzą , a to jest rzadkość. Była na starym papierze, pisana na maszynie, wykonana z dużą starannością

Dla Sławka było jasne, że Olszański wykonując ekspertyzę na pewno nie pomyliłby się w opisie tak podstawowych elementów. To go utwierdziło w przekonaniu, że ma w domu falsyfikat.

Później dowiedział się, że prawda jest bardziej skomplikowana. Uświadomiła mu to Jadwiga O-K., rzeczoznawca Desy w zakresie wyceny dzieł sztuki.

„Przedstawiony obraz jest nieudolnym naśladownictwem warsztatowo na bardzo niskim poziomie bez charakterystycznych, szerokich, swobodnych, a zarazem finezyjnych pociągnięć pędzla budujących formę z kolorystyką obcą palecie malarskiej Kossaka, bez temperamentu, z nie oryginalną sygnaturą„ - napisała.

Sfałszowana ekspertyza

Dodała coś jeszcze, co dobiło Sławka. - Nie tylko dzieło, ale i ekspertyza to falsyfikaty - stwierdziła. Zauważyła, że Olszański używał pieczęci ze swoim nazwiskiem w latach 1998-99, ale nie w 1984 r. i nie posługiwał się tytułem „ekspert twórczości Kossaków".

Zdruzgotany Sławek powiadomił Maćka o odkryciu. Przy okazji zwrócił mu uwagę, że pozostałe oferowane przez niego na Allegro obrazy Kossaków też nie wyglądają na autentyczne. Maciek nie okazał zdziwienia, sam przeszedł do ataku, stał się agresywny i opryskliwy. Nie odpowiedział na żądanie zwrotu pieniędzy za sprzedany falsyfikat i pobrane 12 dzieł z kolekcji Sławka.

Kolekcjoner zawiadomił policję. Ruszyło śledztwo, a do nowotarskiej prokuratury zaczęły spływać sygnały o kolejnych oszustwach związanych z mistrzami pędzla. Odezwała się mieszkanka Tarnowa, której Maciek za 18 tys. zł oferował do sprzedaży obraz Leona Wyczółkowskiego. Dzieło odebrała osobiście. Zapłaciła 10 tys. zł. I obraz, i dołączona opinia okazały się falsyfikatami. Kobieta dowiedziała się o tym, gdy zawiozła obraz do renomowanej galerii w Warszawie, by go wystawić na aukcji.

Maciek wił się jak piskorz i zamiast zwrotu gotówki oferował kobiecie m.in. droższy obraz Włodzimierza Tetmajera. Joanna M. odmówiła.

Potem okazało się, że Tetmajer to też podróbka.

Policjanci z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie przebadali transakcje internetowe Maćka. Jako sprzedawca używał nicka hecoraj i nie dało się ukryć, że na aukcjach oferował znacznie więcej fałszywych obrazów. Za 25 tys. zł chciał sprzedać obraz Jerzego Kossaka „Wesele krakowskie jedzie do ślubu", który wisi w Muzeum Narodowym w Warszawie. Z kolei proponowany nabywcom obraz „Żołnierz i dziewczyna przed Belwederem" od 1989 r. był wypożyczony do Kancelarii Sejmu.

Maciej D. nie przyznał się do winy. Przypomniał, że to Sławek chciał obraz Kossaka, „bo to było marzenie jego życia". - Zastanawiające, że rozpoznał fałszerstwo dopiero, gdy miał zapłacić drugą ratę - insynuował oskarżony.

On ma same falsyfikaty

Prokurator w akcie oskarżenia skierowanym do Sądu Okręgowego w Nowym Sączu zarzucił mu oszustwo na kwotę 52 tys. zł i próbę wyłudzenia kolejnych 320 tys. złotych. Za tyle oferował fałszywe obrazy.

Maciej D. dobrowolnie poddał się karze półtora roku więzienia w zawieszeniu na 2 lata. Zobowiązał się także do zwrotu 36 tys. zł Sławomirowi K. i 10 tys. zł oszukanej tarnowiance.

Sławek pisał do Maćka w jednym z maili, że miał nadzieję, iż „będzie cię stać choć na jedno słowo przepraszam".

- Nawet zaproponowałem - dodaje - że mogę zgodzić się na inny obraz Kossaka za tę samą sumę. No, ale on ma same falsyfikaty...

Wyrok w sprawie Macieja D. jest już prawomocny. ● ©℗

Zamiast zwrotu pieniędzy za fałszywy obraz oferował droższe dzieło Tetmajera. Jak się okazało, było sfałszowane

Piekło rodziny Małyszów trwało aż cztery lata. To koniec?

Od kilku lat rodzina **Adama Małysza** była prześladowana przez nastoletnią dziewczynę z Warszawy. Kiedy nawet sąd nie był w stanie pomóc, **Iza Małysz** ujawniła dramat rodziny. Prześladowanie w internecie, nie tylko znanych osób, to dzisiaj prawdziwa plaga

FOT. JANUSZ WÓJTOWICZ

▶ O tym, że rodzina była nękana, Izabela Małysz napisała niedawno na Facebooku

Stalking

Andrzej Drobik
a.drobik@dz.com.pl

Rodzina Adama i Izy Małyszów przez ostatnie cztery lata przechodziła wyjątkowo trudne chwile. Zaczęło się od niewinnych zaczepek nastolatki z Warszawy, a skończyło na groźbach karalnych i rozprawie sądowej.

Cztery lata nękania. Sąd: Będzie upomnienie

Izabela Małysz bardzo dba o prywatność swojej rodziny. Rzadko udziela wywiadów, niechętnie pokazuje się publicznie. Dlatego fakt, że postanowiła upublicznić swój problem, był dla wszystkich ogromnym zaskoczeniem. Jak przyznaje, po prostu nie wytrzymała i postanowiła, że musi coś zrobić. Po kilku latach samotnego radzenia sobie z nękaniem rodziny przez nastolatkę z Warszawy, opisała swoją sytuację na portalu Facebook. Opisała prześladowanie jej rodziny przez stalkerkę z Warszawy, postanowiła też ujawnić dane prześladowczyni. Ujawniła, że młoda dziewczyna miała podszywać się pod członków jej rodziny oraz wysyłała do nich wiadomości o wulgarnej treści.

„Sprawa zgłoszona na policję. Kolejne miesiące przesłuchań, weryfikowania podanych przez nas „na tacy" dowodów, w końcu rozprawa... i...? I nic! Sąd zasądził, jak cytuję: „środek wychowawczy w postaci upomnienia" - napisała Izabela Małysz na Facebooku. Jak twierdzi, jej wpis wynika z bezsilności wobec nękającej jej rodzinę dziewczyny. Bezsilności spotęgowanej wyrokiem sądu. To dlatego postanowiła podjąć radykalne kroki. Ujawniła dane stalkerki - jest nią nastolatka z Warszawy. Jak mówi Izabela Małysz, czarę goryczy miała przelać wiadomość, którą córka małżeństwa Małyszów - Karolina - dostała na 19. urodziny. Nastoletnia stalkerka, już po wyroku sądu, napisała wtedy do Karoliny:

„Mam nadzieję, że szybko zdechniesz zapomniana przez wszystkich i będziesz umierać w cierpieniu".

Po ujawnieniu tożsamości dziewczyny rozpoczęła się prawdziwa burza w mediach społecznościowych, a internauci zaczęli udostępniać jej wizerunek. Jak udało nam się dowiedzieć, teraz nękanie rodziny Małyszów się skończyło.

Sprawa ciągnęła się przez cztery lata. Na początku były niewinne wiadomości, a kiedy nastoletnia stalkerka poczuła się ignorowana, zaczęła z jednej strony pisać wulgarne wiadomości, a z drugiej zapraszać do znajomych ludzi związanych ze skokami narciarskimi i wypytywać ich o rodzinę Małyszów. Kiedy po raz pierwszy wyszło na jaw, że dziewczyna prześladuje rodzinę słynnego skoczka, młoda warszawianka zaczęła zakładać fikcyjne konta na portalu Facebook, niejednokrotnie podszywając się właśnie pod Karolinę Małysz, córkę Adama i Izabeli.

Jak się okazało, nastolatka angażowała w swoją obsesję nawet kilkadziesiąt osób, wypytując ich o rodzinę Małyszów, nieraz podszywając się także pod znane osoby ze środowiska skoków narciarskich.

Dzisiaj, choć cała Wisła żyje tą sprawą, nieliczni chcą o niej rozmawiać. Wiele osób powołuje się właśnie na podejście rodziny Małyszów do prywatności. Sama poszkodowana także nie zdecydowła się na skomentowanie sprawy. Izabela Małysz, poproszona przez nas o rozmowę na ten temat, odpowiedziała grzecznie, ale stanowczo: nie.

Stalking to termin, który pojawił się w latach 80. XX wieku w USA i dotyczył głównie gwiazd dużego ekranu. Jak tłumaczy Jagna Piwowarska, prezes Fundacji Można Inaczej, zajmującej się pomocą ofiarom stalkingu, dzisiaj to już prawdziwy problem społeczny. - Choć przepisy prawne są dobrze skonstruowane, policja często sobie z nimi nie radzi. Aktualnie nie dysponujemy miarodajnymi danymi, dlatego że dane policyjne dotyczą wszczętych postępowań. Do mnie po pomoc przychodzą często ludzie, których sprawa została przez policję zbagatelizowana. Dzisiaj to już nie incydentalny problem dotyczący celebrytów, ale zjawisko sięgające nawet 10 procent polskiego społeczeństwa - tłumaczy Jagna Piwowarska.

Kodeks karny
Art. 190a.
Uporczywe nękanie - stalking
§1. Kto przez uporczywe nękanie innej osoby lub osoby jej najbliższej wzbudza u niej uzasadnione okolicznościami poczucie zagrożenia lub istotnie narusza jej prywatność, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.
§2. Tej samej karze podlega, kto podszywając się pod inną osobę, wykorzystuje jej wizerunek lub inne jej dane osobowe w celu wyrządzenia jej szkody majątkowej lub osobistej.
§3. Jeżeli następstwem czynu określonego w §1 lub 2 jest targnięcie się pokrzywdzonego na własne życie, sprawca podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10.
§4. Ściganie przestępstwa określonego w §1 lub 2 następuje na wniosek pokrzywdzonego.

- Myślę, żesytuacja musiała być dramatyczna, skoro Iza postanowiła upublicznić sprawę - mówi jedna ze znajomych Izabeli Małysz.

Mechanizm sprawy opisują jedynie osoby bezpośrednio mające do czynienia z nastoletnią stalkerką. Jak się okazuje, sprawa dotknęła wiele osób związanych ze srodowiskiem skoków narciarskich.

- Zagadywała, próbowała rozmawiać. My byliśmy na to uczuleni, dostaliśmy ostrzeżenie od Izy Małysz. W pewnym momencie wszyscy bardzo uważaliśmy na zaproszenia do znajomych od osób związanych ze skokami. Bardzo często okazywało się, że to konta fikcyjne - mówi Katarzyna Koczwara, która w tamtym okresie pracowała w biurze prasowym PZN.

- Około dwóch lat temu dostałem zaproszenie do znajomych od tej dziewczyny. Zaczęła mnie zaczepiać, udawała, że interesuje się skokami narciarskimi. To nie było dla mnie dziwne, bo zaprasza mnie dużo osób zainteresowanych skokami - mówi Robert Osak, właściciel portalu WinterSzus. Kiedy Izabela Małysz ostrzegła go przed dziewczyną i powiedziała o jej intencjach, usunął ją ze znajomych. - Wtedy zaczęły się wiadomości i zaproszenia do grona znajomych wysyłane z fikcyjnych profili - mówi.

Jak wspomina Katarzyna Koczwara, dziewczyna regularnie wysyłała z fikcyjnych kont wiadomości. - Kiedyś zaprosiła mnie do znajomych podszywając się pod Karolinę Małysz. Szybko zorientowałam się, że to nie ona, celowo pociągnęłam rozmowę, żeby dowiedzieć się, o co jej chodzi - mówi. Jak tłumaczy, nie dostrzegła celu w działaniu młodej prześladowczyni.

- To była raczej chorobliwa obsesja. Ja w tym upatruję problemów z tożsamością, podszywanie się po omacku pod różne osoby - ocenia Koczwara.

Najgorsze były groźby wobec nastoletniej córki

Izabela Małysz tłumaczy, żę upubliczniła sprawę, bo miała nadzieję na wywołanie reakcji wśród rodziny dziewczny, która ją prześladowała. - Uznałam, że skoro zdaniem sądu wystarczającą reakcją jest środek wychowawczy w postaci upomnienia, to może w jej otoczeniu znajdzie się ktoś bardziej wrażliwy, a jednocześnie stanowczy i zrobi w tej sprawie coś konkretnego. Zanim dojdzie do jakiejś tragedii. Tym bardziej że groźby i obelgi dotyczą nie mnie czy mojego męża, a więc dorosłych ludzi, ale kierowane są pod adresem mojej córki. A na to chyba żadna matka nie może patrzeć bezczynnie - tłumaczy swój krok Izabela Małysz.

Jak nieoficjalnie udało nam się dowiedzieć, ataki dziewczyny nękającej rodzinę Małyszów ustały, przynajmniej na razie.

● ©℗

„Mam nadzieję, że szybko zdechniesz i będziesz umierała w cierpieniu" - to jedna z wiadomości wysłana do córki Adama Małysza

Moment, gdy dorośli zawodzą dzieci

Rozmowa

Notujemy dramatyczny wzrost liczby samobójstw dzieci - mówi **dr Izabela Łucka**

Dorota Abramowicz
d.abramowicz@prasa.gda.pl

W ciągu tylko jednego tygodnia dochodzi na Pomorzu do dwóch ogromnych tragedii. W ubiegły czwartek pod pendolino w Gdańsku rzuciła się 11-latka, w poniedziałek śmiercią samobójczą zginęła dwunastoletnia dziewczynka z Sumina. Dlaczego dzieci odbierają sobie życie?

To trudne pytanie, na które w każdym przypadku trzeba będzie szukać indywidualnych odpowiedzi. Dziecko nie jest bytem całkowicie odrębnym, trzeba na nie patrzeć szerzej, środowiskowo. Pochodzi z jakiejś rodziny, żyje w określonym otoczeniu rówieśniczym. Samobójstwo jest wyrazem skrajnej, absolutnej rozpaczy. Rezygnacja z życia to oznaka, że dziecku nie udało się odnaleźć w środowiskach, które są dla niego podstawowe. I sygnał, że my, dorośli, zawiedliśmy.

Często zawodzimy?

Niestety, coraz częściej. Po okresie względnej stabilizacji od 2012-13 roku notuje się w Polsce dramatyczny wzrost liczby samobójstw wśród dzieci i młodzieży oraz równie dramatyczny wzrost ostrych przyjęć po próbach samobójczych na oddziały psychiatryczne. Pomorze nie jest wyjątkiem. Ze statystyk policyjnych wynika, że w 2014 r. śmiercią samobójczą zginęło w naszym województwie pięcioro dzieci do 14 lat i 61 nastolatków między 15 a 19 rokiem życia.

W ubiegłym roku było jeszcze gorzej - samobójstwo popełniło szesnaścioro, czyli ponad trzy razy więcej dzieci do 14 lat i 72 nastolatków. W opublikowanym niedawno stanowisku Zarządu Głównego Sekcji Psychiatrii Dzieci i Młodzieży Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego alarmujemy, że występowanie zaburzeń psychicznych wśród dzieci i młodzieży wykazuje tendencję wzrostową.

U jak dużej grupy dzieci występują te zaburzenia?

U około 9 proc. populacji dzieci i młodzieży. W skali kraju ocenia się, że jakiegoś rodzaju pomocy psychiatrycznej i psychologicznej potrzebuje ok. 630 tys. osób, które nie ukończyły jeszcze 18 lat.

Ilu z tych potrzebujących otrzymuje pomoc?

Z przykrością muszę stwierdzić, że opieka psychiatryczno-psychologiczna nie jest na odpowiednim poziomie.

Dlaczego tak się dzieje?

Bo są to świadczenia deficytowe, niedostatecznie oszacowane. W tej sytuacji dyrektorzy placówek, którzy są przecież także menedżerami, nie mogą ryzykować otwierania generujących straty oddziałów. Trzeba też podkreślić, że dla młodych pacjentów najważniejsze w procesie leczenia są oddziaływania psychoterapeutyczne i wychowawcze.

Nie tabletki?

Nie. Farmakoterapia jest na drugim poziomie oddziaływania. Musimy więc dysponować kadrą oraz miejscami, gdzie można takich świadczeń udzielać. Niekoniecznie musi to być szpital. Powiem krótko - łóżko szpitalne to ostateczność, niezbędne gdy walczymy o życie i trzeba obserwować dziecko przez 24 godziny na dobę lub wtedy, gdy działania ambulatoryjne nie przynoszą efektu i trzeba dokonać dodatkowej diagnozy. Generalnie jednak od lat odchodzimy od myślenia „azylowego" nakazującego trzymanie małych pacjentów w zamkniętych blokach.

Panuje przekonanie, że najlepszym miejscem do leczenia jest szpital.

Nieprawda. Skutecznie pomagamy dziecku jak najbliżej jego środowiska. Tymczasem nadal brakuje alternatywy do leczenia stacjonarnego. Czyli centrów zdrowia psychicznego, poradni zdrowia psychicznego, zespołów środowiskowych, oddziałów dziennych, hosteli. W ostatnich latach można mówić o dostępności do opieki ambulatoryjnej w dużych miastach. Można w tym miejscu pochwalić miasto Gdańsk. Tutejszy samorząd widzi problem, nie chce zostawiać dzieci samym sobie, opracowywane są programy, które wdraża się w życie. Tego nie można już powiedzieć o innych, mniejszych miejscowościach. Według danych Sekcji Psychiatrii Dzieci i Młodzieży w mniejszych miejscowościach na pierwszą wizytę u psychiatry dziecko czeka kilka miesięcy, a na spotkanie z psychoterapeutą jeszcze dłużej.

Dlaczego dziecka nie należy izolować od środowiska?

Izolacja jest konieczna tylko w niektórych przypadkach. Im młodsze dziecko, tym bardziej powinno być ono z rodziną. Oczywiście pod warunkiem, ze jest to rodzina funkcjonalna. Jeśli panuje w niej przemoc, najpierw trzeba tę przemoc zastopować. To podstawa. Mamy do tego od dawna odpowiednie narzędzia - polskie prawo od dawna nie pozwala rodzicom bić dzieci. Teraz konieczne są także zmiany w mentalności dorosłych. Podczas niedawnej konferencji organizowanej przez rzecznika praw dziecka padła - moim zdaniem bardzo dobra - propozycja, by sformułowanie „władza rodzicielska" zastąpić „odpowiedzialnością rodzicielską".

Dlaczego rodzice się w tej odpowiedzialności gubią?

To skutek kondycji emocjonalno-zdrowotnej rodziców, bo to jest zwykle źródłem niewydolności rodzicielskiej, oraz ich trudnej sytuacji ekonomicznej. Mamy też ogromny kłopot z rodzinami, w których rodzice wyjeżdżają do pracy za granicę, zostawiając dzieci pod opieką dziadków. Jednak nawet najczulsi dziadkowie nie zastąpią mamy i taty. Dorośli opuszczający swe domy mają zapewne dobre intencje. Chcą, by rodzinie się lepiej żyło. Nie rozumieją, że żadne pieniądze nie wynagrodzą dziecku nieobecności rodziców. Powodem problemów dzieci jest również prześladowanie w relacjach rówieśniczych. We wszystkich takich przypadkach najpierw musimy wyeliminować przemoc, a potem proponować oddziaływania terapeutyczne.

Jak często przyczyną pojawienia się zaburzeń psychicznych u dzieci jest krzywda im wyrządzana?

Zdarza się, że zaburzenia występują niezależnie od środowiska rodzinnego i szkolnego. Jednak relacje rodzinne i rówieśnicze są podstawowe dla rozwoju i samopoczucia dziecka. Zapobieganie przemocy w tych relacjach to obowiązek nie tylko psychiatry dziecięcego, policjanta, kuratora czy pracownika socjalnego, ale nas wszystkich - dorosłych. Czyli nauczyciela, lekarza, sąsiada, przechodnia widzącego krzywdzone dziecko. Kiedy widzimy krzywdzenie dzieci, musimy reagować.

Jak?

Należy natychmiast przerywać sytuacje, w których jesteśmy świadkami krzywdzenia dziecka i zawiadamiać o przemocy odpowiednie instytucje. Udzielać dziecku wsparcia, korzystając na przykład z pomocy psychologów i pedagogów zatrudnionych w prawie każdej szkole i pracujących w poradniach psychologiczno-pedagogicznych. ● ©℗

Dr n. med. Izabela Łucka - jest specjalistą psychiatrą dzieci i młodzieży oraz psychoterapeutą. Od dziesięciu lat pełni funkcję pomorskiego konsultanta wojewódzkiego w dziedzinie psychiatrii dzieci i młodzieży

REKLAMA 006933476

Kwidzyński Park Przemysłowo-Technologiczny Sp. z o.o.
ogłasza
rokowania po drugim przetargu zakończonym wynikiem negatywnym
na sprzedaż terenów inwestycyjnych stanowiących własność KPPT Sp. z o.o.,
położonych w miejscowości Górki 3A, w gminie Kwidzyn.

1. Przedmiotem rokowań jest sprzedaż terenów inwestycyjnych stanowiących własność KPPT Sp. z o.o., położonych w obrębie geodezyjnym Górki pomiędzy drogą wojewódzką nr 521, rzeką Liwą i terenem kolejowym, o następujących nr ewidencyjnych działek:
   1) działka nr 249/2, o pow. 14.070 m² , cena wywoławcza brutto: 865.305 zł, zaliczka: 43.266 zł
   2) działka nr 249/6, o pow. 14.857 m² , cena wywoławcza brutto: 950.254 zł, zaliczka: 47.513 zł
   3) działka nr 249/9, o pow. 17.329 m², cena wywoławcza brutto: 1.492.027 zł, zaliczka: 74.602 zł
   4) działka nr 249/11, o pow. 6.148 m², cena wywoławcza brutto: 642.774 zł, zaliczka: 32.139 zł
   5) działka nr 249/17, o pow. 16.691 m2, cena wywoławcza brutto: 1.067.557 zł, zaliczka: 53.378 zł
   6) działka nr 249/18, o pow. 65.053 m², cena wywoławcza brutto: 4.160.790 zł, zaliczka: 208.040 zł
   7) działka nr 249/20, o pow. 8,007 m², cena wywoławcza brutto: 640.160 zł, zaliczka: 32.008 zł
   8) działka nr 249/21, o pow. 5.566 m², cena wywoławcza brutto: 479.233 zł, zaliczka: 23.962 zł
   9) działka nr 249/29, o pow. 19.679 m², cena wywoławcza brutto: 1.694.362 zł, zaliczka: 84.719 zł
   dla których Sąd Rejonowy w Kwidzynie Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą nr GD1I/00041385/6.

2. **TERMIN SKŁADANIA PISEMNYCH ZGŁOSZEŃ UDZIAŁU W ROKOWANIACH** na sprzedaż powyższych nieruchomości **upływa w dniu 27 stycznia 2017 r. o godz. 15.00** w siedzibie Kwidzyńskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego Sp. z o.o., Górki 3A, sekretariat **(decyduje data i godzina wpływu do siedziby KPPT sp. z o.o.).**

3. **Termin przeprowadzenia rokowań wyznacza się na dzień 31 stycznia 2017 r. o godz. 11.00** w siedzibie Kwidzyńskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego Sp. z o.o., Górki 3A, w sali C 1.04.

4. Ogłoszenie o rokowaniach zamieszczone zostało na tablicach ogłoszeń w siedzibie Kwidzyńskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego Sp. z o.o., Górki 3A, na stronie internetowej www.kppt.pl

Informacje dotyczące rokowań można uzyskać pod adresem e-mail: **sekretariat@kppt.pl**

PROGRAM REGIONALNY NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI
Pomorskie w Unii Agencja Rozwoju Pomorza S.A. www.arp.gda.pl
UNIA EUROPEJSKA EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO

Zakręceni deskami. Ręcznie robione

Małopolskie buki, jesiony i topole nadają się nie tylko na meble. Można z nich też robić deski. Deski snowboardowe. Trzech zapaleńców z Myślenic produkuje je w niewielkim warsztacie. I właśnie zaczynają wypuszczać je w świat

Rzemiosło

Przemysław Franczak
redakcja@gk.pl

Marka „Pure" nie jest jeszcze szerzej znana, logo z dwoma skrzyżowanymi toporkami nie wywołuje na razie migotania komór serca u przeciętnego snowboardzisty, ale wszystko przed myślenicką manufakturą. W tych snowboardach można zakochać się od pierwszego wejrzenia (nie, to nie jest tekst sponsorowany). Wygląd, jakość wykonania, dbałość o detal - te deski prezentują się tak, jakby wyszły prosto z nowoczesnej fabryki, a nie z przerobionej na warsztat starej maszynowni w centrum Myślenic.

Barnaba Szczepański, jeden ze współwłaścicieli firmy, otwiera żelazne, odrapane drzwi. W środku praca wre. Chłodno, gra muzyka, na ścianie wisi portret Johnny'ego Casha. Zakładamy maski, bo trwa klejenie nowego egzemplarza, leją się litry żywicy. Na wycięty ślizg, już z założonymi krawędziami, idzie warstwa włókna szklanego, potem drewniany rdzeń, znów włókno, wzmocnienia z włókien węglowych i aramidowych, a na końcu warstwa wierzchnia. Ten etap pracy idzie raz-dwa, za chwilę snowboard - na razie zresztą wyglądający jak zwykła deska, bo właściwy kształt uzyska później - ląduje na kilka godzin pod prasą ich własnej konstrukcji. Nacisk ośmiu ton i odpowiednia temperatura sprawi, że wygnie się pod pożądanymi kątami.

Dziadek robił narty w Szaflarach

Trzech snowboardzistów, trzech przyjaciół. - Wszystko wzięło się z totalnej, trwającej od 20 lat pasji - pokazuje na stojące pod ścianą snowboardy Paweł Matuszyński. Inżynier po Politechnice Krakowskiej, z burzą kędzierzawych włosów na głowie, w „Pure" odpowiedzialny za projekty techniczne desek. Od lat prowadzi - z sukcesami - inną firmę. Projektuje i produkuje ramy rowerowe po marką „Zumbi".

- Trzy lata temu wpadliśmy na pomysł, żeby zrobić dla siebie powderboardy, czyli deski, na których jeździ się bez wiązań. Taki, powiedzmy, surfing w puchu - opowiada. - To nas nakręciło, żeby zbudować specjalną prasę i tak powstała nasza pierwsza deska.

Dziś wisi na ścianie jako eksponat. Początkowy etap ewolucji. Jeszcze dość niezdarny.

- Ale dało się na niej jeździć - przekonują zgodnie.

Koncepcja zaczynała się rozrastać.

- Pomysłów było dużo, jest zresztą sporo literatury fachowej czy materiałów w internecie, ale z Pawłem mamy jeden minus: nie jesteśmy stolarzami - śmieje się Barnaba, grafik z zawodu, odpowiedzialny za stronę wizualną desek i ich rustykalny charakter.

Wtedy na scenę wkroczył Maciej Masełko. Stolarz (technik technologii drewna - precyzuje), specjalista od mebli na wymiar - a także deskorolkowy kompan Barnaby - stał się odpowiedzialny za wycinanie, wygładzanie, lakierowanie i doprowadzanie snowboardów do finalnego efektu.

- Zasięgam rady mojego dziadka, który też był stolarzem, podobnie jak mój ojciec, bo dziadek kiedyś w Szaflarach robił narty. I każdą naszą deskę pokazuję mu i pytam, czy w porządku. Odpowiada, że dobrze, że ładne, choć on robił inne. Ale widzę, że podobają mu się te rzeczy - opowiada ze śmiechem Maciek.

Nie od razu jednak snowboardy zaczęły im wychodzić jak spod igły. Eksperymentowali, szukali rozwiązań, dobierali odpowiednie drewno, testowali grubość i sprężystość rdzenia. Do procesu produkcyjnego wprowadzili sporo własnych patentów, zresztą nie wszystkimi chcą się chwalić publicznie. Wiadomo, tajemnice kuchni.

W Polsce są firmy zajmujące się masową produkcją snowboardów i nart, np. Nobile z Bielska-Białej, ale taka manufaktura jak ta myślenicka czy warszawska narciarnia Monck Custom są jedyne w swoim rodzaju. W Krakowie istniała podobna inicjatywa, robiono tu ręcznie narty pod marką Ciruela, ale słuch po niej zaginął w 2015 roku.

▶ Wspólnicy w komplecie. Od lewej: Barnaba Szczepański, Maciej Masełko (obaj trzymają splitboardy)

▶ Prasę, w której formują deski snowboardowe, od A do Z zbudowali sami

- Z jednej strony niby wszystko jest jasne, wiadomo, jak wygląda produkcja snowboardów, ale pytajników pojawiało się mnóstwo. Ciągle były burze mózgów, co zrobić, żeby nam się coś nie rozjechało, żeby cięcie mogło być idealnie równe, jaką gramaturę powinno mieć włókno szklane itp. Wymyśliliśmy przy okazji sporo autorskich konceptów - mówi Paweł.

SUBIEKTYWNIE O KSIĄŻKACH

Wielu tym, którzy opuścili ojczyznę doskwiera samotność

Grzegorz Ignatowski

Zapewne nikt nie zapyta, dlaczego przeczytałem ostatni tom tekstów Jana Himilsbacha „Rozwałka i inne szkice". Znajdziemy w nim słuchowiska radiowe, scenariusze filmowe i opowiadania. Spośród tych ostatnich wybieram historię Jana Wiśniewskiego. Jego los opisany został w opowiadaniu „Syn marnotrawny". Nie znajdziemy w nim bliskich związków ze znaną biblijną historią. Co zatem odnajdujemy. Bohater mieszkał w Niemczech. W tym samym mieście żyła jego żona, syn i córka oraz zięć. Trzy miesiące wcześniej zostawił rodzinę. Spakował najpotrzebniejsze rzeczy i bez żadnego słowa wyszedł z domu. Rodzina wiedziała, że ostatnio działo się z nim coś złego. Od ponad roku rzadko odzywał się do najbliższych. Jeśli nawet, to wyłącznie opryskliwie.

Na początku opowiadania spotykamy Wiśniewskiego na dworcu kolejowym. Autor pisze, że odpoczywał na odkurzonej przez siebie ławce. Dworzec był jego miejscem pracy. Niewiele miał narzędzi. Były nimi długa miotła na kiju i duża blaszana szufla. Nigdzie nie przeczytamy, ile dokładnie miał lat.

Dowiemy się, że był człowiekiem niemłodym, postarzałym ze względu na nieogoloną brodę. Zwykł chodzić lekko pochylony do przodu, nie oglądał się za siebie. Przypadkowo spotkał na ulicy swoją żonę. Po krótkiej rozmowie kobieta była pewna, że nigdy nie powróci do rodziny. Faktycznie, Wiśniewski nie pozostał długo w mieście. Powrócił do kraju i osiadł w zrujnowanym domu, zwykłej chałupie pobudowanej kiedyś przez ojca. Mieszkał i powoli zaczął ją odbudowywać. Na zawsze pozostaje jednak w pamięci scena z pierwszych stron opowiadania, która miała miejsce w barze dworcowym. Wiśniewski zamówił trzy hamburgery, pieczywo, kieliszek wódki i piwo. Usiadł samotnie przy stoliku.

Zresztą, w całym opowiadaniu widzimy człowieka samotnego, rozgoryczonego. Nie tylko ze względu na podłą pracę. Nie znajdziemy żadnej szczegółowej informacji, w jakim mieście mieszkał i gdzie powrócił. Czyżby autor chciał powiedzieć, że podobnych Wiśniewskich możemy spotkać w każdym zakątku świata. Ludzi, którzy wyjechali, a za granicą czuli się samotni do szpiku kości. Chodzące trupy, które nie powróciły na ojcowiznę. ● ©℗

snowboardy prosto z Myślenic

i Paweł Matuszyński (z modelem Powder Slasher)

▶ Klejenie. Między ślizgiem a rdzeniem jest włókno szklane

▶ Nakładanie ostatniej warstwy – na wierzch idzie ozdobny fornir

FOT. WOJCIECH MATUSIK (4)

Barnaba: - Na początku kilka desek zepsuliśmy. Ale kolejne zaczęły wychodzić całkiem ładnie. Technologię mamy już teraz taką, że bez problemu nadają się do pokazania i na sprzedaż.

Ta ostatnia ruszyła niedawno, pierwsze egzemplarze już znalazły właścicieli. „Pure" stało się tym samym pierwszą polską manufakturą, która robi snowboardy. Na rynku od kilku lat furorę robi działająca na podobnej zasadzie warszawska firma „Monck Custom", zajmująca się produkcją nart zjazdowych i freeridowych. Ludzie chętnie płacą - nawet niemałe pieniądze - za rzeczy oryginalne, z etykietką „ręcznie robione".

- Narty też mamy w planach, znajomi nas ciągle o to pytają - zdradza Barnaba.

Pasja, wolność, rock'n'roll

W tej chwili, jak zapewniają, są w stanie zaprojektować i wykonać dowolną deskę snowboardową, ale na razie w ofercie mają dwa swoje flagowe modele. Dla snowboardowych freeriderów; do jazdy w puchu i po stromych żlebach. - To deski, które są odzwierciedleniem naszej zajawki, takie, które sami chcielibyśmy mieć - tłumaczy Paweł. Sami są głównymi testerami swoich produktów.

Jeden z modeli to tzw. splitboard. Snowboard, który można podzielić na dwie krótkie narty i podchodzić na nich po śniegu do góry jak na skitourach, fokach. Na szczycie obie części spina się razem, przekłada wiązania i zjeżdża już na desce.

- To ciągle niszowa sprawa, ale snowboardziści też chcą łazić po górach i zjeżdżać poza trasami. Zimą ruch w górach jest coraz większy, zrobiła się moda na freeride - mówi Barnaba.

A Paweł się śmieje, że produkcyjnie i technologicznie od razu skoczyli na najgłębszą wodę. - Splitboardy to bez wątpienia najtrudniejszy segment tego biznesu - mówi.

Materiał na ślizgi, który potem wycinany jest według projektu na maszynie CNC, sprowadzają ze Szwecji, drewno na rdzeń kupują w Myślenicach.

- To taka klejonka z topoli, buka i jesiona. Sidewalle (warstwa umieszczona wzdłuż krawędzi deski - red.) dobieramy według preferencji. Merbau jest na przykład bardzo dobry, bo to odporne drewno. A na wierzch idzie warstwa ozdobnego forniru, który jest następnie kilkukrotnie lakierowany lub olejowany - wylicza Maciek.

Szacują, że wyprodukowanie od zera jednej deski zabiera nawet do kilku tygodni. Cena? Za splitboard trzeba zapłacić 2900 zł, za model Powder Slasher 700 złotych mniej.

- Nie będziemy produkować tysiąca desek na sezon, ale mamy nadzieję, że to się fajnie rozkręci - podkreślają. Chętnych do testów desek „Pure" zapraszają na wspólne wypady w góry. „To właśnie połączenie pasji, technologicznej wiedzy, pragnienia wolności i odrobiny rock'n'rolla dało początek manufakturze Pure Snowboards" - piszą na swojej stronie internetowej. Nie zmyślają. ●

©℗

REKLAMA 006891429

Przedstawicieli firm zapraszamy
do udziału w bezpłatnych warsztatach
„Nowoczesne technologie i nowe rynki szansą na rozwój Twojego biznesu"

Poznaj szczegóły i zarejestruj się na akademia-przedsiebiorcy.pl
lub zadzwoń na infolinię 22 267 39 98
Liczba miejsc ograniczona. Decyduje kolejność zgłoszeń.

Legionowo, 29.11.2016 r., Hotel Windsor
Jachranka 75, Serock
Zielonka, 30.11.2016 r., u Pietrzaków
ul. Lipowa 20
Pruszków, 1.12.2016 r., Rezydencja Zalewskich
ul. 36 P.P. Legii Akademickiej 10, Parzniew
Warszawa, 6.12.2016 r., Sofitel Victoria Warszawa
ul. Królewska 11
Piaseczno, 7.12.2016 r., Hotel DeSilva
ul. Puławska 45 B

Akademia Przedsiębiorcy

Organizatorzy: POLFUND FUNDUSZ PORĘCZEŃ KREDYTOWYCH

Bank Zachodni WBK
Grupa Santander

Jak zabijał „Piękny Władziu"?

Historie kryminalne

Władysław Mazurkiewicz, zwany był „Eleganckim mordercą", i „Krakowskim upiorem". Miał zabić ok. 30 osób. Właśnie powstaje film o jego zbrodniach

Marcin Banasik
redakcja@polskatimes.pl

▶ Ekipa Krzysztofa Langa właśnie kończy zdjęcia do filmu o seryjnym mordercy z lat 50. Władysławie Mazurkiewiczu. Głównym tematem „Ach, śpij kochanie" ma być zło. Reżyser chce pokazać, że najgorszym złem wcale nie był człowiek podejrzany o ok. 30 zabójstw. Na zdjęciu Izabela Kuna i Andrzej Chyra, który wciela się w rolę „eleganckiego mordercy"

Przez ul. Pijarską w Krakowie wolno przejeżdża stara, srebrno-niebieska warszawa. Światło reflektorów samochodu odbija się od mokrej nawierzchni. Pojazd zatrzymuje się pod jedną z restauracji. Stoi tam ubrany w beżowy płaszcz i brązowy kaszkiet znany aktor Arkadiusz Jakubik . Z warszawy od strony pasażera w kapeluszu na głowie wysiada drugi aktor Tomasz Schuchardt. Mężczyźni chwilę rozmawiają przy oknie lokalu. Jest wieczór, atmosfera ponura. Nagle na kaszkiet Jakubika spada gołębia kupa, a dokładnie... bita śmietana.

Żeby imitacja ptasiego odchodu trafiła dokładnie na środek głowy aktora, ten musiał stanąć w miejscu, gdzie narysowany był kredą krzyżyk. Wtedy człowiek z ekipy filmowej stojący na parapecie okna wyciągnął kij z małym pojemnikiem zamocowanym na jego końcu gdzie znajduje się śmietana. W odpowiedniej chwili wylewa zawartość na kaszkiet aktora. Tych akrobacji ekipy technicznej kamera oczywiście „nie widzi".

Między innymi takie filmowe triki stosowano w ubiegły piątek wieczorem podczas kręcenia jednej ze scen filmu o krakowskim seryjnym mordercy Władysławie Mazurkiewiczu „Ach, śpij kochanie". Reżyserem obrazu o tzw. eleganckim mordercy z lat 50. jest Krzysztof Lang, znany z realizacji serialu „Komisarz Alex" oraz komedii romantycznych.

Zanim aktorzy odegrali scenę spotkania, ekipa filmowa musiała zadbać, aby ulica Pijarska „cofnęła się" w czasie o ok. 60 lat. Reżyser przyznaje, że nie było to trudne, gdyż od lat pięćdziesiątych centrum Krakowa niewiele się zmieniło.

– Musieliśmy poprawić jedynie detale, takie jak choćby zmiana tablic z nazwami ulic. W czasach antykatolickiego komunizmu ulice św. Marka i św. Jana nie były ulicami świętych - uśmiecha się Krzysztof Lang.

Największym złem jest system

W rolę Mazurkiewicza wcielił się Andrzej Chyra, znany z mocnych ról w takich produkcjach jak „Komornik" czy „Dług". W filmie ściga go młody milicjant Karski, grany przez Tomasza Schuchardta.

– Postać Mazurkiewicza jest tylko pretekstem do pokazania największego zła tamtych czasów. Nie jest nim wcale brutalny morderca, ale system, który pozwala mu na bogacenie się kosztem życia innych ludzi - zauważa Schuchardt.

Aktor dodaje, że postać, którą kreuje, nie jest typowym funkcjonariuszem.

– To człowiek z zewnątrz. Ale dobrze zdaje sobie sprawę, że jest mocno skrępowany systemem, w którym przyszło mu żyć i ścigać mordercę - tłumaczy odtwórca roli Karskiego. W tropieniu „eleganckiego mordercy" pomaga mu Arkadiusz Jakubik, znany z ról w ponurych filmach reżysera Wojciecha Smarzowskiego, takich jak „Dom zły", „Drogówka".

Sceny zostały już zrealizowane prawie w całości. Akcja odbywa się głównie w Krakowie, gdzie żył Mazurkiewicz. - Kilka ujęć udało się nakręcić w klatce schodowej w kamienicy przy ulicy Biskupiej 14, gdzie mieszkał - mówi Wojciech Pałys, producent filmu.

Zdjęcia były też realizowane w Zakopanem, gdzie zabójca jeździł na wycieczki.

Film jest oparty na scenariuszu Andrzeja Gołdy, który przedstawił mordercę jako przystojnego 42-latka w idealnie dopasowanym garniturze z brylantową spinką w krawacie. Na jego ręku błyszczy drogi zegarek i rodowy sygnet.

Lata 50. to czasy terroru bezpieki, ale też ciemnych interesów, pokątnego handlu i bujnego życia towarzyskiego. W takich warunkach doskonale odnalazł się „elegancki morderca". Mazurkiewicz mordował dla pieniędzy. Był nałogowym hazardzistą. Od swoich ofiar często pożyczał pieniądze lub cenne rzeczy, a kiedy przychodził dzień oddania pożyczki, likwidował swoje ofiary. Istnieją niepotwierdzone informacje, że zabójstwa tak długo uchodziły mu bezkarnie, ponieważ podczas wojny miał szerokie kontakty z gestapo, a później z Urzędem Bezpieczeństwa.

Filmowy obraz postaci granej przez Andrzeja Chyrę nie różni się od prawdziwego oblicza mordercy. Akta sądowe z procesu przeciwko Mazurkiewiczowi leżą dziś w Archiwum Narodowym w Krakowie.

Z sądowych materiałów na temat zabójcy wynika, że był prawdziwym amantem rodem z przedwojennego kina. Zeznania świadków przedstawiają obraz szarmanckiego człowieka, obracającego się w dostojnym towarzystwie podwawelskiego beau monde (franc. piękny świat). Kobiety mówiły na niego „piękny Władziu", a ci, którzy mieli przyjemność spędzania czasu w jego towarzystwie, zawsze mogli liczyć na uregulowanie rachunku przez człowieka, o którym nawet po wykryciu jego zbrodni mówiło się „elegancki morderca".

Wszyscy się tam spotkamy

Scenarzysta podejmuje próbę wytłumaczenia motywu morderczych zbrodni Mazurkiewicza, wskazując na jego stosunki z żoną. - W mojej opowieści Mazurkiewicz jest chorobliwie zakochany w kobiecie, której nie potrafi zaspokoić seksualnie. Mimo że w towarzystwie uchodzi za kobieciarza, w rzeczywistości to impotent, który zrabowanymi precjozami próbuje zastąpić żonie swą męską niemoc - tłumaczy Andrzej Gołda.

Mazurkiewicza skazano na siedmiokrotną karę śmierci. Ostatecznie udowodniono mu sześć morderstw i dwa usiłowania, choć podejrzewano go o pozbawienie życia co najmniej 30 osób. Stracono go w krakowskim więzieniu na Montelupich w dniu jego 46. urodzin, 31 stycznia 1957 roku o godzinie 16.30.

Podobno „Elegancki morderca" nawet w tym momencie chciał zachować fason - jego ostatnie słowa miały brzmieć: „Do widzenia, panowie. Niedługo wszyscy się tam spotkamy". ●

©℗

Wiesław Mazurkiewicz urodził się 27 czerwca 1911 roku w Krakowie. Ojciec pracował w drukarni, matka zmarła trzy lata po porodzie. Ponoć babka na wieść o narodzinach wnuka, miała wypowiedzieć proroctwe słowa „urodził nam się bandyta". „ Chce być prawnikiem i podejmuje studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. [...]. Nałogowo gra w karty. Nawiązuje kontakty z krakowskim półświatkiem. Po rzuceniu studiów odbywa czynną służbę wojskową na kursie dywizyjnych podchorążych. Zostaje oficerem rezerwy. W tym charakterze bierze udział w kampanii wrześniowej.

REKLAMA 006845669

Na łożu śmierci mama wyznała mi, że miałam siostrę-bliźniaczkę

Ludzie

Czy gdzieś żyje moja siostra bliźniaczka? To pytanie od prawie 60 lat kołacze się w głowie **Teresy Skierki.** Swojej mamie zadała je raz, gdy miała pięć lat. Odpowiedź brzmiała „nie"

Alicja Fałek, Dorota Abramowicz
redakcja@polskatimes.pl

Rok 1959, Teresa ma pięć lat. Mieszka z mamą w willi „Lotos" w Krynicy-Zdroju. Mama pracuje jako kelnerka w stołówce. -Tereniu - przy kościele zatrzymuje ją matka chrzestna. - Musisz coś wiedzieć. Masz siostrę.

Terenia biegnie do mamy, opowiada o słowach cioci, dopytuje o siostrzyczkę. Mama stanowczo zaprzecza.

Dwa lata później Teresa jest już uczennicą I klasy szkoły podstawowej. Grzebie w szufladzie mamy, wyciąga fotografię, na której elegancko ubrana para pozuje z maleństwem, ubranym w błyszczący, biały strój. Pani w perłach na szyi uśmiecha się, pan wpatruje w czułością w dziecko.

- Kto to jest? - pyta dziewczynka.
- Ty - odpowiada krótko mama.
- A ci państwo?
- Wczasowicze.

Potem zdjęcie znika.

Listopad 2015 r.

Pruszcz Gdański. 81-letnia Zofia Wysocka, matka Teresy Skierki, jest po ciężkim udarze. Ma problemy z mówieniem. Przed śmiercią próbuje powiedzieć coś ważnego córce.

- O siostrze? - pyta Teresa. Matka kiwa głową. - Jedź do Krynicy - mówi niewyraźnie. - Szukaj...

-Jak ona ma na imię?

- Jadzia...

Teresa do dziś nie wie, czy Jadzia jest jej siostrą, czy kobietą, która ją zaadoptowała. Mama podaje też nazwisko, ale brzmi ono niezrozumiale. Być może zaczyna się na Łę... lub na Łą... A może nie.

Teresa szuka w rzeczach matki fotografii pary z dzieckiem.

Odnajduje ją dopiero w tym roku, na poddaszu domu.

Panna z brzuchem

Zofia Wysocka do Krynicy przyjechała w 1954 roku w poszukiwaniu pracy. Miała 19 lat. Uzdrowisko to miał być dla niej nowy-lepszy rozdział ciężkiego dotąd życia.

- Wspominała, że jej dziadkowie mieli gorzelnię. Że tatę zabili Ukraińcy. Ona ocalała, bo dziadkowie przed śmiercią zdążyli ją oddać pod opiekę sióstr urszulanek - wspomina Teresa Skierka. - Po wojnie mama trafiła do sierocińca prowadzonego przez zakonnice w Warszawie.

Dziewczyna, kiedy tylko dorosła szybko zaczęła pracować w warszawskiej kawiarni „Niezapominajka" i prawdopodobnie tam poznała ojca Teresy. Kiedy dowiedział się, że będą mieli dziecko, zniknął.

Zofia postanowiła wyjechać ze stolicy. Przypadek sprawił, że trafiła do Krynicy. Dach nad głową i pracę znalazła w „Lotosie".

- Do porodu mieszkała w pokoju z kilkoma innymi dziewczynami. Jak wróciła już ze mną dostała własny pokoik - opowiada nam pani Teresa. - Z tego co udało mi się ustalić, opiekował się nią dr Julian Zawadowski, lekarz ginekolog i dobry człowiek, który po wojnie został nawet burmistrzem Krynicy-Zdroju. Nawet ciuszki jej podsyłał.

Niewykluczone, że to on znalazł dobrze sytuowaną parę, która pragnęła swojego dziecka. Zofia wiedziała, że nie będzie w stanie wychować dwóch dziewczynek.

- Rozumiem decyzję mamy. To były bardzo trudne czasy. Jako panna z brzuchem była piętnowana. Ale dzielnie to znosiła. Była bardzo mocna.... - urywa Teresa, a po jej policzkach spływają łzy.

Bliźniaczki przychodzą na świat 8 listopada 1954 r. na oddziale położniczym w Muszynie. Jedna dostaje imię Teresa. Druga dziewczynka może być teraz Jadzią...

- Mama wypowiedziała to imię przed śmiercią. Ale nie jestem pewna, czy to imię mojej siostry, czy jej mamy adopcyjnej - przyznaje Teresa.

Wyczyszczona metryka

W zeszłym tygodniu Teresa była w Krynicy. - Teraz, kiedy udało mi się porozmawiać z kilkoma osobami, które coś pamiętają, wiem, że ciocia nieprzypadkowo powiedziała mi o siostrze - uważa Teresa Skierka. - Moja koleżanka z dzieciństwa Marysia była świadkiem rozmowy, którą pamięta do dziś.

FOT. ALICJA FAŁEK

▶ **Teresa Skierka ze zdjęciem, prawdopodobnie, siostry i jej przybranych rodziców. Obok mama Teresy z wnuczką**

Kobieta jest poważnie chora, straciła wzrok, ale pełen emocji dialog zapamiętała doskonale. Rozmawiały wówczas cztery osoby: mama Teresy, chrzestna matka i dwie sąsiadki. Trudno wymazać z pamięci łzy młodej matki, która rozpaczała, bo do Żegiestowa przyjechali przybrani rodzice z jej córeczką.

- Mama ukradkiem podglądała moją siostrę, ale została zauważona przez przybranego ojca - opowiada Teresa. - Kategorycznie zabronił jej kontaktów z dzieckiem. Marysia powiedziała mi, że z rozmowy wynikało, że mężczyzna ten był lekarzem.

I dlatego Teresy nie dziwi, że w papierach nie ma śladu po jej siostrze bliźniaczce. Oficjalnie jej mama 8 listopada 1954 r. urodziła jedno dziecko. Teresa dokładnie przeglądała archiwum w Muszynie. Jest przekonana, że siostrze sporządzono nową metrykę z nazwiskiem rodziców adopcyjnych.

Chwyciła się więc innego tropu. Imienia. Ustaliła, że w dniu jej urodzin, 8 listopada 1954 r. przyszły na świat 23 dziewczynki, którym nadano imię Jadwiga. Jedna mieszka w Starym Sączu. Teresa ją odwiedziła. To nie jej siostra.

- Jedyne, co zostało, to zdjęcie, które widziałam przed laty, a po śmierci mamy, znalazłam ponownie - ubolewa 62-latka. - Musiało zostać wykonane w profesjonalnym zakładzie fotograficznym po chrzcie siostry. Pewnie rodzice adopcyjni dali je mojej mamie na pamiątkę. Może moja siostra ma takie samo w swojej kolekcji? Na to właśnie liczę.

Musi być do mnie podobna

Teresa chce spełnić ostatnią wolę matki i swoje marzenie.

Zofia pracowała do emerytury jako szefowa w stołówce należącej do Funduszu Wczasów Pracowniczych w Krynicy.

- Ja wyjechałam na drugi koniec Polski ponad 40 lat temu za swoim mężem, którego poznałam w Krynicy. Gdy mama pożegnała się z pracą zabrałam ją do siebie - wyjaśnia pani Skierka. - Mama była dla mnie ogromnym autorytetem. Dlatego też nie miałam śmiałości już później pytać ją o moją siostrę. Nie chciałam jej ranić.

I choć od śmierci Zofii Wysockiej minęło dziewięć miesięcy, to jej córka nie pogodziła się ze stratą. Każde wspomnienie, każde słowo wypowiadane na jej temat, sprawia że płacze. - Nawet nie miałam odwagi zrobić porządku z jej rzeczami...

Teresa Skierka od 9 lat jest wdową. Ma syna i córkę oraz pięcioro wnucząt. I gdzieś w świecie siostrę, która musi być do niej podobna.

- Chciałabym jej powiedzieć, że mama ją kochała i oddała wbrew sobie. Mam nadzieję, że będzie potrafiła to zrozumieć i wybaczyć mamie, tak jak ja. Czekam aż się do mnie odezwiesz siostro!

***

Jedynym tropem jest na razie wspomniane przez Zofię zdjęcie. - Nie wiem, czy dziś siostra jest do mnie podobna, ale na tym zdjęciu ma moje oczy - dodaje Teresa Skierka. ●

©℗

Odezwij się siostro!

Teresa Skierka prosi o pomoc w poszukiwaniach siostry. Chce by jak najwięcej osób zobaczyło zdjęcie pary z niemowlęciem.

– Być może ktoś przypomni sobie, że podobna fotografia ukryta jest gdzieś w starym, rodzinnym albumie. A wtedy wystarczy tylko zadzwonić pod numer 793 08 11 54. I powiedzieć: Dzień dobry, siostro!

Człowiek, który umierał cztery razy

Lata walki z nowotworem, 94 blizny, jedno wycięte płuco, częściowa utrata węchu i słuchu nie powstrzymały go, by zdobywać szczyty i startować w triatlonie. **Piotr Pogona** – bohater książki Julii Lachowicz „Umarłem cztery razy"

Ludzkie historie

Maria Mazurek
m.mazurek@gk.pl

Piotr Pogon poszedł ostatnio potańczyć na krakowski Kazimierz. Uwielbia tańczyć. I celebrować każdą dobrą chwilę. I śmiać się, i żartować. Po prostu: żyć pięknie. Więc tańczy z jakąś miłą dziewczyną (a tancerzem jest, nie chwaląc się, dobrym). Ona pyta go: – A ile ty masz lat, bo jakoś trudno stwierdzić?

– W 1988 roku maturę zdawałem.

– To pan stary jest.

Na parkiecie został sam. Ta dziewczyna nie mogła jednak wiedzieć, że choć Pogon żyje na tym świecie 49 lat, to trochę tak, jakby żył jeszcze dłużej. Aż trudno uwierzyć, że jeden człowiek tyle przeżył: okres prosperity, bankructwo, bezdomność, ponad 30-letnią walkę z nowotworem, wycięcie płuca i tarczycy, dwie wielkie miłości, wyprawy w najwyższe góry świata i mordercze zawody triatlonowe. I własną śmierć. Cztery razy.

Śmierć pierwsza

Był 1984 rok. Miał wtedy 17 lat. Był nowohucianinem, harcerzem, miłośnikiem sportu. Wrócił właśnie z obozu harcerskiego z nie najlepszym samopoczuciem: bolało go gardło, miał gorączkę. Myślał, że rutinoscorbin załatwi sprawę. Ale było coraz gorzej.

Jak trafił do lekarza, guz był wielkości śliwki. Diagnoza: rak. Dla Piotra to był koniec dzieciństwa i początek inwazyjnych chemii, długich pobytów w szpitalu. Goniła go śmierć. Raz była tuż-tuż.

– Podczas badania rentgenowskiego położyli mnie głową do dołu, bo zepsuł się stół do badań. Nagle poczułem, jak moją głowę zalewa krew. Dosłownie. Serce przestało bić – opowiada.

W wieku 17 lat przeżył śmierć kliniczną. Nie pamięta żadnych świateł w tunelu, kwiatów na łące. Nie pamięta żadnych obrazów. Tylko to uczucie – absolutnego błogostanu. I złość, jak lekarzom udało się go odratować, przywrócić do żywych: dlaczego zabieracie mnie z tej pięknej krainy? Jakim prawem?

Rak – to było jak wyrok. Kiedy Piotrka przewieźli na Garncarską w Krakowie, nikt nie wierzył, że z tego wyjdzie. Załamał się.

I wtedy usłyszał od górala, z którym dzielił salę: „Co tak rycys? Cipa jesteś?". Przez kolejne kilka dni ten bezpośredni góral wykładał mu swoją prostą filozofię. Ale wbił do głowy śmiertelnie choremu 17-latkowi, że warto walczyć. I warto żyć pięknie, nawet jak to życie za niedługo ma się zakończyć.

Po kilku dniach góral nagle przestał oddychać, posiniał i zszedł z tego świata. Ale dzięki niemu Pogonowi zachciało się żyć.

Śmierć druga

Kilka lat później koleżanka pokazywała mu zdjęcia z wakacji. Wypatrzył na nich piękną dziewczynę. Podniósł oczy i zobaczył, że ta dziewczyna siedzi obok. Z Beatą umówili się jeszcze tego samego dnia. Trzy lata później w kościółku w Mogile wzięli ślub.

Poszli na studia. On dorabiał jako drwal, sprzedawca, pracownik myjni autobusowej, opiekun bizonów w ogrodzie zoologicznym, szmugler komputerów z Niemiec do Rosji. Żeby mieć start na wspólne życie, jakieś gniazdo, dobry początek.

Z rakiem był spokój. Do 1991 roku.

Pogon poszedł na rutynowe badanie rtg. Formalność, nigdy nawet tymi badaniami się nie stresował. Był młody, zakochany, na dorobku. Pewny, że całe życie jest przed nim.

Lekarz powiedział: Zaciemnienie na płucach. Znów ma pan nowotwór.

– Zmiażdżyło mnie to. Psychicznie było dużo gorzej niż za pierwszym razem, bo wiedziałem, co mnie czeka. Przeżyłem taki szok. Nie wiem nawet, jak wróciłem do domu. Totalna amnezja – opowiada.

Beata, dowiedziawszy się o chorobie, poprosiła Piotra o dziecko. Szymek, dziś dorosły facet, miał być dla niej najcenniejszą pamiątką po miłości jej życia.

W razie, gdyby…

Lekarze nie zwlekali. Po kilku dniach leżał na stole operacyjnym. Wycięli mu praktycznie całe płuco. Po tym, kiedy się przebudził, zakazali uprawiać sportów, przemęczać się, dźwigać.

Myślał, że to koniec normalnego życia. Już nic nie będzie go cieszyć, nic nie będzie motywować, już nie ma po co żyć. Rozpaczał przez trzy dni. Czwartego dnia wsiadł na rower i pojechał odwiedzić brata. Do Bochni, 40 kilometrów.

– Każdy ruch pedałem to była walka. Wiedziałem, że nie chodzi tylko o to, żeby dojechać do tej Bochni. Chodziło o moje życie. O to, żeby się nie poddać. Potem rzygałem jak kot, ledwo żyłem, spałem dwie doby. Ale obudziłem się jako inny człowiek. Silniejszy, lepszy. Z perspektywy czasu uważam, że to był moment zwrotny w moim życiu – opowiada.

Bo wtedy znów umarł i znów się odrodził: tym razem jako sportowiec, przyszły zdobywca Kilimandżaro, Elbrusu i Aconcaguy, jedyny na świecie triatlonista bez płuca.

– Często słyszę pytanie, skąd mam na to siłę. Szczerze odpowiadam: tylko z umysłu. My, maratończycy, mówimy czasem, że biegamy głową. I to prawda, bo ciało jest tylko dodatkiem do naszego umysłu. Jeśli chcemy, jesteśmy zdolni do nadludzkiego wysiłku. Skupiając się na dopłynięciu, dobiegnięciu czy dojechaniu do mety, na zdobyciu szczytu, na pokonaniu kolejnych kilometrów, nie czujemy zakwasów, odmrożeń. Liczy się tylko cel.

Śmierć trzecia

Rok 2000. Pogon jechał z Beatą i małym Szymkiem na narty, na Słowację. W międzyczasie założył pierwszą firmę w Polsce, robiącą nadruki na porcelanie. Czasy prosperity. Dwa luksusowe samochody. Wakacje w drogich kurortach. Najwyższej jakości sprzęt RTV, ciuchy burżujskich marek, zachcianki nowobogackiego.

Jechali na te narty – on, Beata i Szymek, kiedy do Piotra zadzwoniła mama. Okazało się, że Krzyś, brat Piotra, jest w szpitalu. To serce; niósł węgiel i zasłabł. – Ale nie ma potrzeby, żebyś zawracał. Wszystko pod kontrolą – dodała mama.

Krzysztof – ten zdrowszy – po kilku dniach zapadł w śpiączkę. I już się nie obudził. Na jego pogrzeb kilka osób przyniosło wieńce z napisem „Żegnaj, Piotrze". Bo myśleli, że jak Pogonom syn umarł, to na pewno młodszy, z rakiem, chorowity.

To była trzecia śmierć Piotra.

Nie mógł dojść do siebie. Nie miał ani siły, ani chęci, żeby zajmować się firmą, rozwijać ją. Gasnął. Ta jego autodestrukcja i apatia zbiegły się w czasie z tym, że duża firma herbaciana nie zapłaciła im za ogromne zlecenie, a współpracownik wykradł z firmy, dla konkurencji, dane klientów. Pogon został bankrutem.

Co do domu – tam też było coraz gorzej. Zaczęły się kłótnie, napięcia, trzaskanie drzwiami. Bliskość i przywiązanie zostały zastąpione smutkiem i pretensjami.

Miłość – piękna i prawdziwa, taka, która miała być na zawsze – nie przetrwała próby czasu. Zostawił Beacie i synowi mieszkanie. Sam zapakował się w plecak i wyprowadził. Zaczęło się spanie po znajomych. Przychodził wieczorem, wychodził rano. Żeby jak najmniej przeszkadzać.

Dni spędzał na ławkach w parku. Zaczął pić. Stracił kontrolę nad życiem.

Wiosną 2004 roku spędził swoją pierwszą noc na działkach. Rodzinny dom omijał szerokim łukiem. Ze wstydu i męskiej dumy.

Śmierć czwarta

Z bezdomności, z beznadziei, z życiowego upadku podniosła go Anna Dymna. A w zasadzie – podnosiła, bo to był proces. Powiedziała: „Będą z ciebie ludzie". I załatwiła Pogonowi pracę w zaprzyjaźnionej fundacji, u brata Alberta w Radwanowicach.

Miał opiekować się osobami z ciężkim upośledzeniem umysłowym. Za 400 złotych, ale przynajmniej miał po co wychodzić codziennie ze swoich „apartamentów" na ogródkach działkowych. – Pokochałem tych ludzi, odkryłem w sobie nowego Piotra; wrażliwego, empatycznego, który uwielbia pomagać innym. Ci upośledzeni, którzy witając się ze mną całowali mnie w usta i uśmiechali się od ucha do ucha, zmienili moje życie. Pokazali to, co wartościowe we mnie, ale pokazali też, jak piękny jest świat. Oni mają piękne umysły, widzą więcej i tak pięknie potrafią się zachwycać. Zdrowi ludzie zamykają oczy na niepełnosprawnych, szczególnie umysłowo. Bywa, że brzydzą się nimi, gardzą. Tymczasem wiele by się mogli od nich nauczyć – opowiada Piotr.

Po kilku miesiącach Anna Dymna powiedziała mu: „Przyglądałam się tobie z boku, pytałam o ciebie. Mam dla ciebie pracę na stałe. Zostaniesz fundraiserem".

Piotr zgodził się, choć nawet nie wiedział wtedy, co to słowo oznacza. Ale szybko się dowiedział. Kiedy lekarz spytał go o zawód i usłyszał „fundraiser", powiedział, że obowiązuje ustawa o ochronie języka polskiego. Na to Pogon mu powiedział: „To proszę pisać, że systematyczny, skuteczny żebrak na rzecz organizacji pozarządowych".

Załatwiał catering na wielkie imprezy fundacji „Mimo Wszystko", rehabilitację i sprzęt dla podopiecznych, pomógł m.in. Januszowi Świtajowi, temu, co napisał do prezydenta Polski głośny list, w którym prosił o możliwość eutanazji. To między innymi Pogon pokazał Świtajowi, że jednak warto żyć. Sam coś o tym wiedział.

Piotr wpadł też na pomysł, by on – i niepełnosprawni podopieczni Anny Dymnej – zdobyli Kilimandżaro. Udało się w 2008 r.

Po tej wyprawie zmienił jednak fundację – na tę Jasia Meli, z którym zaprzyjaźnił się na najwyższej górze Afryki.

Po jakimś czasie zresztą i z nim przestało mu być po drodze. Odszedł z kolejnej fundacji w nie najlepszej atmosferze, zakładając swoją firmę. Coraz bardziej wkręcał się za to w sport – pobiegł w Safaricom Marathon w Kenii i w słynnym maratonie w Nowym Jorku, zdobył Elbrus, a potem, z niewidomym Łukaszem Żelechowskim, Aconcaguę, najwyższy szczyt obu Ameryk.

Ukończył też mordercze zawody triatlonowe Ironman, najpierw w Szwecji, później w Szwajcarii: prawie 4 km do przepłynięcia, ponad 180 km do przejechania na rowerze i ponad 42 km do przebiegnięcia. Mało który zdrowy człowiek jest zdolny do takiego wysiłku. A Pogon był właśnie po kolejnym rzucie choroby nowotworowej.

Uwierzył, że jest nieśmiertelny. Że może wszystko. Tym bardziej, że w życiu osobistym też zaczęło mu się układać: związał się z Anią, dziewczyną z Beskidu Żywieckiego. To miała być miłość na resztę życia. Rano wychodzili na spacer z psami, wieczory spędzali wpatrzeni w zachód słońca. Znów wszystko było piękne, radosne.

Ale wkrótce umarł czwarty raz. Jako wyczynowy sportowiec. W 2015 roku startował w Ironmanie na Wyspach Kanaryjskich, konkretniej – na Lanzarote. Kiedy z 1887 zawodnikami płynął w szarganym falami Atlantyku, nagle zrobiło mu się czarno przed oczami. Przypadkowy cios od innego zawodnika pozbawił go kilku zębów.

Ale też czegoś więcej. To była jego pierwsza porażka sportowa. Kolejna lekcja pokory. I następna zwrotnica, za którą nic już nie było takie samo. Wkrótce rozstał się z Anią. Związał się z kolejną kobietą, urodziła im się córka. Ten związek też nie przetrwał. Pogonowi znów pogorszyło się zdrowie – prawie całkowicie stracił węch, słuch, ostatnio wycięli mu tarczycę.

Umarł czwarty raz. I nie wie naprawdę, co będzie dalej – ze zdrowiem, ze sportem, z pracą i z życiem prywatnym.

Znów tuła się od znajomych do znajomych. Ale jedno wie: powstanie i kolejny raz. Będzie powstawał za każdym razem. ● ©℗

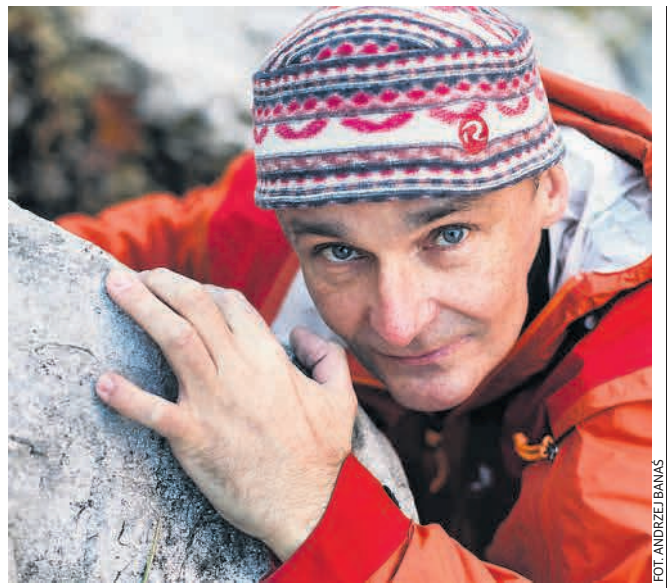

FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Piotr Pogon
Urodzony w 1967 r. w Krakowie. Fundraiser, animator sportowy, prelegent motywacyjny. Maratończyk, triatlonista, wspinacz, podróżnik. W grudniu zamierza jechać do Afryki pomagać polskim misjonarzom.

Umarłem cztery razy, Julia Lachowicz, Wydawnictwo Burda 2016
Kiedy Julia Lachowicz, po raz pierwszy spotkała Piotra Pogona, pomyślała: to historia filmowa. Rozmawiała o nim z ponad 20 osobami, nagrała ponad 200 godzin materiału, pieczołowicie weryfikowała to, co Pogon jej opowiadał. – To postać niejednoznaczna. Jedni go uwielbiają, uważają, że zawdzięczają mu życie i wylewnie o nim mówią. Inni nie chcą o nim rozmawiać, wskazując, że to nie jest tak dobry człowiek, jak wydaje się na początku – opowiada Julia Lachowicz.

Skoczkowie na kozetce u Horngachera

Stefan Horngacher długo szykował się do skoku na głęboką wodę. W końcu postanowił wyjść z cienia i objął posadę trenera polskiej kadry. Mówi, że nie boi się wyzwań

FOT. MICHAŁ GACIARZ

▶ Polscy skoczkowie dobrze wypadli na pierwszych zawodach PŚ. Punktowało aż czterech zawodników

Skoki narciarskie

Przemysław Franczak
przemyslaw.franczak@polskapress.pl

A co wy tak ciągle o presję mnie pytacie? - dociekał Stefan Horngacher, gdy pierwszy raz spotkał się z polskimi dziennikarzami. Może jeszcze nie wiedział, że tutaj - jak mawiał jego poprzednik Łukasz Kruczek - we wtorek stawiają ci pomnik, a w środę szafot. Bo gdy jesteś trenerem reprezentacji w skokach narciarskich, musisz mieć świadomość, że zimą patrzy ci na ręce cała Polska. Z reguły w najbardziej newralgicznym momencie, bo w weekendy, przy obiedzie lub podwieczorku. I w ich trakcie, oglądając jednocześnie w telewizji konkursy Pucharu Świata, mało kto jest mentalnie gotowy na przełykanie rozczarowań i trawienie porażek. 47-letni Austriak wie jednak, po co tutaj przyjechał. I ma pomysł, jak to zrobić. Jak wrócić z Kamilem Stochem na szczyt i zabrać tam też innych. - Nie boję się wyzwań. Jestem odporny, dam sobie radę - twierdzi.

Opuścić strefę komfortu

Długo dojrzewał do decyzji, żeby zostać głównym trenerem. Do takiego - nomen omen - skoku na głęboką wodę przygotowywał się aż 14 lat. Sportową karierę zakończył w 2002 roku i od razu przeszedł na drugą stronę rzeki. Powtarzano mu, że do pracy szkoleniowej się świetnie nadaje. Cierpliwy, metodyczny, spostrzegawczy. Na pierwszy plan się jednak nie pchał, lubił chować się w cieniu. Był asystentem w austriackiej kadrze, trenerem kadry młodzieżowej w Polsce (w latach 2004-2006, gdy frontmanem był jego rodak Heinz Kuttin), pracował w szkole sportowej w niemieckim Hinterzarten, był indywidualnym trenerem Martina Schmitta, wreszcie przez ostatnie lata pełnił funkcję drugiego trenera w reprezentacji Niemiec. Aż nagle wiosną tego roku opuścił swoją strefę komfortu.

- Miałem wcześniej pewne propozycje, ale nie czułem, że to jest odpowiednia chwila na podjęcie takiego wyzwania. Ten moment nadszedł właśnie teraz. Uznałem, że jestem gotowy - tłumaczył.

Decyzja łatwa jednak nie była. Nad ofertą z Polski zastanawiał się tydzień. Rodzina nie była zachwycona tym pomysłem. Z żoną Nicole, byłą fizjoterapeutką niemieckiej kadry skoczków, mają ułożone życie w Hinterzarten. Dzieci - Dana Maria i Amadeus (też skacze na nartach, choć jak mówi tata, talent ma też do innych dyscyplin) - chodzą tam do szkoły. Rozmowy w domu były trudne.

- Na początku rodzina nie była zbyt szczęśliwa. Dyskutowaliśmy o tym, jak wszystko ułożyć. Ostatecznie zostali w Niemczech, nie było sensu sprowadzać ich do Polski - opowiada Horngacher. - Sam dziwnie się z tym wszystkim czułem. Pracowałem w Niemczech bardzo długo, z sukcesami, miałem ustabilizowaną sytuację. Ale uznałem, że Polska jest dla mnie wielką szansą. Nie robię się w końcu coraz młodszy. Perspektywa pracy w roli głównego trenera, z całą jego odpowiedzialnością, wydała mi się bardzo kusząca.

Tutaj nie ma dyktatury

Apoloniusz Tajner, prezes Polskiego Związku Narciarskiego: - Chyba po prostu postanowił w końcu postawić na siebie. Widać po sposobie jego pracy - a to jest taki typ, który niczego nie zaniedbuje, wszystko musi być dopięte na ostatni guzik - że myśli o przyszłości, dalszej karierze trenerskiej, cały czas chce się rozwijać.

W Polsce miał miękkie lądowanie. Część zawodników już dobrze znał, bo 10 lat temu pracował z młodziutkimi Kamilem Stochem (odchodząc przepowiedział mu wielką przyszłość), Piotrem Żyłą i Stefanem Hulą.

- Gdy tylko się dowiedziałem, że to on będzie naszym trenerem, uśmiech nie schodził mi z twarzy - przyznaje ten ostatni. - Wiedziałem, że jest bardzo fajnym człowiekiem i szkoleniowcem. Wymagającym, ale też takim, który świetnie motywuje.

Żyłę tak na wstępie zmotywował, że ten bez oporów zaczął zmieniać swoją charakterystyczną, acz przeciwskuteczną pozycję najazdową. Wcześnie nikt nie mógł tego od niego wyegzekwować ani prośbą, ani groźbą. - Na początku nie było łatwo, szczególnie pierwszy trening był taki, że jak ruszyłem z belki, to myślałem, że się przewrócę. Ale trzeba mieć zaufanie do trenera, żeby wszystko funkcjonowało, bo jak tego nie ma, to nic nie działa - zauważył Żyła.

- Gdy potrzeba, to potrafię mieć twardą rękę. Ale mam wiele twarzy. Miły też potrafię być. Gdy jednak coś idzie w złym kierunku, to trzeba umieć przestawić zawodnika na dobre tory. Z reguły wystarcza ostra męska rozmowa. Bez owijania w bawełnę. Dyscyplina musi być - mówi o sobie Horngacher.

Maciej Kot, który u Austriaka błyskawicznie rozwinął skrzydła i zdeklasował konkurentów w letnim sezonie, podkreśla, że ten jest bardzo dobrym psychologiem. - Wie, kiedy trzeba docisnąć, a kiedy odpuścić. Efekt jest taki, że każdy nie tylko wie, co ma robić, ale też chce to robić. Jest stanowczy, wymagający, ale jednocześnie - tak po ludzku - bardzo sympatyczny. Potrafi pożartować. Na pewno nie wprowadził w kadrze dyktatury - opowiada skoczek z Zakopanego.

FOT. MICHAŁ GACIARZ

Stefan Horngacher
urodził się 20 września 1969 w Woergl. Jest dwukrotnym medalistą olimpijskim (brązowe medale przywoził z Lillehammer i Nagano), pięć razy stał na podium mistrzostw świata (dwa złote medale). We wszystkich przypadkach sukcesy odnosił w konkursach drużynowych. Medal w zawodach indywidualnych pozostał jego niespełnionym marzeniem. W Pucharze Świata 15 razy doskoczył do podium, wygrał dwa konkursy – m.in. w 1999 r. triumfował w Zakopanem. Gdy pracował w Polsce jako trener kadry młodzieżowej, zdobyliśmy srebrny medal na MŚ juniorów w 2005 roku w konkursie drużynowym. W składzie tamtej ekipy byli Piotr Żyła i Kamil Stoch. A także Wojciech Topór, który teraz jest członkiem sztabu szkoleniowego kadry. Czwartym był Paweł Urbański, który jednak szybko zakończył karierę.
Horngacher w wolnych chwilach lubi grać w golfa i jeździć na rowerze górskim. – W Beskidzie Śląskim, gdzie bywam najczęściej, jest sporo pięknych tras – mówi

Na początku współpracy zapraszał zawodników na długie, indywidualne rozmowy. Wypytywał też o prywatne sprawy.

- Chciał nas po prostu lepiej poznać, to nie było tak, że leżało się jak na kozetce u psychoanalityka. Pytał o zainteresowania, o to jak lubimy spędzać wolny czas. Szukał kluczy do każdego z nas. Takie rozmowy też pozwalają budować wzajemne zaufanie - uważa Kot.

- Jest między nami chemia - ocenia krótko Dawid Kubacki, skoczek z Nowego Targu. - Choć na początku zaskoczenie było spore, bo tak naprawdę cały nasz plan treningowy i przyzwyczajenia zostały wywrócone do góry nogami.

Do kadry wróciła atmosfera

Dla młodszych zawodników był zagadką. Andrzej Stękała, 20-latek z Dzianisza, szybko odpalił YouTube, żeby sprawdzić, z kim będzie miał teraz do czynienia. - Solidny skoczek - oceniał ze znawstwem.

Solidny to jednak zbyt mało powiedziane, choć dużo większe słowa też by nie pasowały. To nie była tak wybitna narciarska osobowość jak bohaterowie jego czasów: Andreas Goldberger, Adam Małysz, z którym nawiasem mówiąc od dawna się przyjaźni, czy Schmitt. Nie odnosił wielkich sukcesów indywidualnych, ale był mocnym ogniwem austriackiej drużyny, z którą zdobywał medale na igrzyskach olimpijskich i mistrzostwach świata.

- Jestem zadowolony z tego, co osiągnąłem, choć oczywiście mogło być jeszcze lepiej - uważa.

To, że lubi grać drużynowo, zostało mu do dzisiaj. Organizacja pracy w kadrze - a koordynuje pracę w sumie trzech grup szkoleniowych - to nie jest bułka z masłem. Nie chodzi tylko o logistykę, ale skoki to sport indywidualistów. Każdy ma ambicje, chce skakać w Pucharze Świata, a konkurencja jest duża. W tle są jeszcze pieniądze, sponsorzy, interesy.

O poprzednim, kryzysowym sezonie dziś wszyscy mówią już otwartym tekstem. Atmosfera w reprezentacji była fatalna, to odbiło się na wynikach. Zmiana wyszła wszystkim na dobre. Również trenerowi Kruczkowi, który teraz pracuje z reprezentacją Włoch. U nas Horngacher wprowadził nowe porządki, nowych ludzi i błyskawicznie znów posklejał to w jedną całość.

- Nie byłem tym wcale zaskoczony - przyznaje Tajner. - Stefan bardzo dużo z zawodnikami rozmawia o ich problemach, w przypadku tych młodszych spotyka się też z ich rodzicami. No i być może najważniejsze - to człowiek z zewnątrz. Łukasz Kruczek po kilku latach nie mógł już takich rozmów przeprowadzać. Po ośmiu latach relacje, takie międzyludzkie, z jednymi były bardzo dobre, a z innymi trochę się popsuły. Ludzi w sztabach i grupach szkoleniowych jest dużo. Gdy do Predazzo pojechały trzy grupy, to było w sumie 40 osób. Utrzymanie wszystkich w dobrych relacjach wymaga sporych umiejętności. A Stefan to z jednej strony osoba nowa, ale jednocześnie wszyscy znakomicie wspominali go z okresu, gdy pracował w Polsce. Poza tym sprawdzały się jego pomysły szkoleniowe, więc z każdym dniem w ekipie wrastała wiara, że to działa. A przy tych psychologicznych zdolnościach i wiedzy, którą posiada, jest też dość twardy i trzyma dyscyplinę, bo to też się rozlazło w ciągu ostatniego roku.

Poprzeczka jest jednak zawieszona bardzo wysoko. Trzeba się mierzyć z sukcesami Małysza, olimpijskimi triumfami Stocha. Polacy albo zakochają się w nim bez pamięci, albo... Choć być może Horngacher, typ chłodnego analityka, czasem sprawiający wrażenie flegmatyka, będzie odpowiednim kontrapunktem dla kąpanych w bardzo gorącej wodzie kibiców.

- Dla mnie zaczyna się całkiem nowy, ekscytujący etap - podkreśla Horngacher. Dla polskich fanów skoków też. ●

©℗

Kubacki: Między nami jest chemia. Zaskoczenie było na początku spore, bo plan treningowy został wywrócony do góry nogami

„Życie z rakiem prostaty w Polsce”

● Jakie jest dziś społeczne podejście do raka prostaty w Polsce? Czy przełamaliśmy tabu związane z tą chorobą? Jaka jest jakość życia pacjentów z rakiem prostaty i jak wygląda ich leczenie na tle innych krajów Europy - to główne zagadnienia debaty „Życie z rakiem prostaty w Polsce” zorganizowanej przez dziennik „Polska The Times”, której partnerem był miesięcznik „Rynek Zdrowia”.

▶ Od lewej: poseł Krzysztof Ostrowski (Parlamentarny Zespół ds. Praw Pacjentów), poseł Waldemar Kraska (senacka Komisja Zdrowia), Piotr Chłosta (PTU), Piotr Wysocki (PTOK), Katarzyna Korpolewska (psycholog społeczna), redaktor Piotr Wróbel („Rynek Zdrowia"), redaktor Anita Czupryn („Polska The Times"), Tadeusz Włodarczyk (Stowarzyszenie Mężczyzn z Chorobami Prostaty „Gladiator"), Szymon Chrostowski (Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych)

Debata

Anita Czupryn
redakcja@polskatimes.pl

Pierwsza z debat ekspercko-systemowych, którą otworzyliśmy redakcyjny cykl „Regionalnych Rozmów o Zdrowiu” nie bez powodu poświęcona została rakowi prostaty - jednemu z najczęściej występujących nowotworów u mężczyzn (to drugi, jeśli chodzi o śmiertelność, nowotwór po raku płuca). Statystyki są tu zatrważające: zachorowania na raka gruczołu krokowego rosną i niestety będą przyrastać. W ciągu ostatnich trzech dekad liczba zachorowań na złośliwego raka prostaty w naszym kraju wzrosła pięciokrotnie - to są dane Krajowego Rejestru Nowotworów. Pięcioletnie przeżycie z rakiem gruczołu krokowego wynosi dziś u nas 53 proc., co też nie napawa optymizmem, jeśli spojrzy się na parametry w krajach Europy Zachodniej, gdzie średnia przeżycia pacjentów z tym nowotworem wynosi prawie 70-80 proc.

Wnioski płynące z debaty to po pierwsze fakt, że obecnie pacjent z rakiem prostaty może żyć aktywnie społecznie i zawodowo i pozostawać w dobrej jakości życia. Po drugie jednak, by tak mogli funkcjonować mężczyźni z rakiem prostaty w Polsce, muszą mieć dostęp do nowoczesnych standardów terapeutycznych stosowanych dziś przed chemioterapią. Takie leczenie, jak wskazywali eksperci, istotnie wydłuża przeżycie całkowite, opóźnia progresję choroby i pozwala pacjentom zachować dobrą jakość życia. Ważne jest i to, że odsuwa ono w czasie wdrożenie toksycznej chemioterapii, a co za tym idzie, uciążliwą hospitalizację. Stąd też - po trzecie - nie mogło zabraknąć apelu do obecnych podczas debaty przedstawicieli systemu o ten rodzaj leczenia w Polsce.

Eksperci, wskazując najważniejsze kierunki i potrzeby zmian: w dostępie do leczenia, w opiece chorych i możliwych perspektywach, pozytywnie zaopiniowali też uroonkologiczną współpracę, wskazując korzyści, jakie może ona przynieść zarówno dla pacjentów, lekarzy, jak i całego systemu zdrowotnego.

Profilaktyka

Zdaniem prof. Piotra Chłosty, prezesa Polskiego Towarzystwa Urologicznego, w przypadku diagnostyki raka prostaty, ważny jest poziom rozwoju sanitarnego społeczeństwa. Ale to, co jest kluczowe dla wyników leczenia raka prostaty, to jego wczesne wykrycie. Nierzadko od postaci mikroskopowej do jawnej klinicznie postaci tego nowotworu mija wiele lat. Stąd też tak ważne są profilaktyczne badania przesiewowe mężczyzn pomiędzy 50. a 70. rokiem życia. W przypadku chorych z ryzykiem rodzinnym wskazane jest wykonywanie tych badań o 10 lat wcześniej.

Na profilaktykę zwracał też uwagę poseł Krzysztof Ostrowski, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Praw Pacjentów, a zarazem praktykujący lekarz internista.

▶ Poradnik dla pacjentów pt. „Im wcześniej, tym lepiej" opracowany przez Stowarzyszenie Mężczyzn z Chorobami Prostaty „Gladiator"

- Wygranie z rakiem prostaty jest sukcesem, ale jeszcze większym jest niezachorowanie dzięki stosowaniu zaleceń profilaktyki pierwotnej. Ogranicz ilość zjadanego czerwonego mięsa, jedz więcej owoców i warzyw, codziennie podejmuj wysiłek fizyczny - zalecał.

Przełamać tabu

O tym, jak zmienił się klimat dotyczący tego nowotworu i przełamanie bariery wstydu, jaka tej chorobie towarzyszyła, mówił podczas debaty Tadeusz Włodarczyk, prezes Stowarzyszenie Mężczyzn z Chorobami Prostaty „Gladiator”.

W trakcie debaty po raz pierwszy zaprezentowane zostały fragmenty kampanii edukacyjnej „Im wcześniej, tym lepiej” przygotowanej przez gladiatorów. Jej bohaterami są mężczyźni po zabiegach radykalnej prostatektomii, poddanych brachyterapii i terapiom lekowym, którzy nauczyli się żyć z chorobą, zachowując przy tym satysfakcjonującą jakość życia. Zdecydowali się pokazać swoje twarze, by zaświadczyć, że możliwe jest dobre życie z rakiem prostaty. Hasło kampanii zachęca też do wykonywania badań w kierunku wykrywania raka prostaty, niosąc przekaz: „Możemy żyć dobrze i aktywnie, jeśli we wczesnym etapie będziemy kontrolować chorobę”.

- Kiedy w 2002 r. uruchomiliśmy telefoniczną linię zaufania, przez pierwsze cztery lata dzwoniły do nas prawie wyłącznie kobiety zaniepokojone stanem swoich mężów, ojców. Dzisiaj odbieramy od 20 do 50 telefonów w miesiącu i w blisko 90 proc. są to telefony od mężczyzn - podkreślał prezes stowarzyszenia Tadeusz Włodarczyk.

Psycholog społeczny Katarzyna Korpolewska zwracała jednak uwagę na to, jak wciąż jeszcze mężczyznom zdarza się po prostu wypierać diagnozę. - Gdy ją usłyszą, stwierdzają, że nie będą nic robić, bo ten temat jest dla nich zbyt trudny - mówiła. Stąd też, jej zdaniem, hasło kampanii Stowarzyszenia „Gladiator” wskazuje na to, jak ważne jest, aby mężczyźni, u których zdiagnozowano nowotwór prostaty, poznali tę chorobę, bo wówczas lepiej będą przygotowani na to, by podjąć leczenie i nie poddawać się jej przez lata.

Postawa mężczyzn zmieniła się, gdy do kampanii społecznych zaczęły włączać się osoby znane publicznie. Jedną z takich kampanii jest organizowana co roku w listopadzie ogólnoświatowa akcja „Movember” (nazwa pochodzi od połączenia angielskich słów moustache - wąsy - i november - listopad). - Tak było, gdy pozyskaliśmy poparcie polskiej reprezentacji, która złożyła swoje podpisy na piłkach, podobnie kiedy naszym ambasadorem został aktor Maciej Damięcki. Wtedy nagle i inni mężczyźni odważyli się przyznać do choroby i pokazać, że można z nią żyć - wspominał Szymon Chrostowski, przewodniczący Polskiej Koalicji Pacjentów Onkologicznych.

Dobra jakość życia z rakiem prostaty

Dzięki możliwościom współczesnej medycyny rak gruczołu krokowego w wielu przypadkach jest już dziś chorobą przewlekłą i przez długie lata można go kontrolować. Szczególnie ważne podczas choroby są te czynniki, które mają wpływ na poprawę jakości życia pacjentów. Prócz rzetelnej wiedzy o chorobie, społecznego wsparcia organizacji pacjenckich i pomocy psychologów, tak samo ważny jest dostęp do nowoczesnych metod leczenia Chorzy przecież cierpią na groźne powikłania układu kostnego, silne bóle kręgosłupa, doznają złamań, które ich unieruchamiają. Nowoczesne leczenie poprawia jakość życia pacjentów w wielu aspektach, od ich ogólnego funkcjonowania fizycznego, emocjonalnego po aktywność w rodzinie i życiu zawodowym. Ale najważniejsze w tym jest to, że nowoczesne leki i metody zabiegowe przedłużają pacjentom życie w sposób nieporównywalny do tego, co było przed laty.

Profesor Piotr Wysocki, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej, podkreślił, że onkolodzy kliniczni mogą dzisiaj zaproponować stosowanie strategii długotrwałego leczenia.

- Akurat w raku prostaty nie jest to rzadka sytuacja, gdy potrafimy tę chorobę nawet na etapie zaawansowanym kontrolować latami, prowadząc dobrze zbalansowane leczenie, biorące pod uwagę zarówno jakość życia pacjenta, jak i toksyczność stosowanej terapii - informował, dodając: - Jeśli choroba się nie spieszy, my też się nie spieszymy. Pozwala to miesiącami, a czasem i latami, obserwować chorego, nie wdrażając kolejnej formy agresywnego leczenia.

Nadzieja na przyszłość

Radykalne terapie dające szanse na wyleczenie możliwe są do zastosowania u tej części chorych, u których rozpoznano miejscowo zaawansowanego raka gruczołu krokowego, bez przerzutów. Ale, jak gorzko skonstatował prof. Piotr Chłosta z Polskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej, dzisiejsze możliwości zabiegowego leczenia raka prostaty w naszym kraju sytuują nas pod koniec europejskiej stawki.

▶ Poseł Krzysztof Ostrowski (Parlamentarny Zespół ds. Praw Pacjentów) oraz poseł Marek Hok (Parlamentarny Zespół ds. Onkologii)

▶ Tadeusz Włodarczyk (Stowarzyszenie Mężczyzn z Chorobami Prostaty „Gladiator")

▶ Poseł Waldemar Kraska (senacka Komisja Zdrowia), Piotr Chłosta (PTU) oraz Piotr Wysocki (PTOK)

▶ Katarzyna Korpolewska (psycholog społeczna), Piotr Wysocki (PTOK), poseł Waldemar Kraska (senacka Komisja Zdrowia)

ZDJĘCIA: BARTEK SYTA

- W Polsce, w przeważającej liczbie ośrodków, w tym w szpitalach akademickich, pacjent jest operowany technikami, których szczyt popularności przypadał na lata 80. ubiegłego stulecia - stwierdził, wymieniając przy tej okazji wciąż nieznaczne wykorzystania laparoskopii i robotów medycznych, których zastosowanie zmniejsza ryzyko powikłań.

Z kolei pacjenci, u których rozsiew, uogólnienie procesu nowotworowego następuje dopiero po pewnym czasie - po pięciu, a czasami i po 10 latach od momentu rozpoznania choroby - wymagają w pierwszym etapie długotrwałego leczenia hormonalnego. I, jak podkreślali eksperci, nowoczesne leczenie farmakologiczne, tzw. przed chemioterapią, czyli takie, które pozwala zachować dobrą jakość życia, odsunąć w czasie wdrożenie nierzadko uciążliwej chemioterapii, wchodzi dziś w zakres strategii leczenia raka gruczołu krokowego.

Jednym z parametrów, jak informowali eksperci, na które zwraca się uwagę przy ocenie skuteczności nowej generacji leków podczas badań klinicznych, jest określenie czasu, jaki upływa od momentu rozpoczęcia podawania leku do pojawienia się konieczności wdrożenia chemioterapii. - Nowe leki onkologiczne stosowane w raku prostaty pozwalają średnio wydłużyć ten czas o 10-12 miesięcy - podał prof. Piotr Wysocki.

W Polsce jednak sytuacja w porównaniu z innymi krajami Unii Europejskiej jest diametralnie inna.

Lekarze starają się stosować wszelkie możliwe schematy terapeutyczne, wiedząc, że chemioterapia jest bardziej toksyczna niż terapia hormonalna. - Pojawiają się wytyczne, które sugerują, że chorzy odnoszą korzyść, jeśli chemioterapia w raku prostaty jest przenoszona z późnego na nawet bardzo wczesny etap w leczeniu. Dotyczy to jednak pewnych określonych sytuacji klinicznych - mówił prof. Chłosta, przyznając, że brak dostępności nowoczesnych leków jest frustrujący.

- Nie zawsze istnieje możliwość swobodnego planowania leczenia systemowego, albowiem na podstawie programu lekowego mamy zdefiniowaną jedyną strategię leczenia, jaką możemy wybrać, gdy u chorych przestają działać klasyczne leki. Aktualnie leki nowej generacji możemy włączyć dopiero na takim etapie rozwoju choroby, gdy pacjent już nie reaguje na chemioterapię - podkreślał prof. Piotr Wysocki. Zdaniem onkologa optymalizacja leczenia, polegająca na wdrożeniu nowoczesnych leków przed chemioterapią, daje wybór skutecznej, a jednocześnie bezpiecznej terapii, zapewniającej utrzymanie jakości życia.

Nowoczesne leczenie - oszczędne leczenie

W Polsce mężczyzna z rakiem prostaty w porównaniu z pacjentami innych krajów Unii Europejskiej często bardzo szybko przestaje być aktywny zawodowo i przechodzi na emeryturę bądź rentę. W krajach o wyższej świadomości i zaopiekowaniu taki mężczyzna nie dość, że nie traci aktywności zawodowej - nie ma tego tzw. absenteizmu i prezenteizmu - czyli długich zwolnień i chwilowego pojawienie się w pracy - to nadal wnosi składki do budżetu. Polscy politycy - przedstawiciele systemu zdrowia uczestniczący w debacie - podzielili pogląd, iż pacjent dobrze leczony na każdym etapie choroby może okazać się tańszy dla systemu zdrowia, a co za tym idzie - dla całego budżetu.

- Taki pacjent nie rozwija powikłań, wyższa też jest jakość jego życia. Warto rozważyć, czy zabiegi operacyjne raka gruczołu krokowego nie powinny być wykonywane w szpitalach zapewniających wyższą jakość leczenia, ale i jego ciągłość w zakresie farmakologicznym, radioterapii czy opieki psychologicznej - mówił senator Waldemar Kraska, przewodniczący senackiej Komisji Zdrowia. Przyznał też, że jako polityk czuje się odpowiedzialny za system i jakość leczenia pacjentów. Poinformował o zaplanowanym posiedzeniu komisji poświęconej rakowi prostaty. - Na tym forum spotkają się wspólnie senatorowie, specjaliści, przedstawiciele stowarzyszeń pacjentów - zakomunikował senator Kraska.

Niedawno odbyło się posiedzenie parlamentarnego Zespołu ds. Onkologii, o czym poinformował uczestniczący w debacie przewodniczący, poseł Marek Hok. Zespół prezentował opinię, że leczenia raka prostaty podejmują się szpitale niedostatecznie przygotowane do prowadzenia procedur zabiegowych. W formie opinii został też skierowany do Ministerstwa Zdrowia wniosek dotyczący braku pełnej dostępności do nowoczesnych terapii lekowych. - Te leki są dostępne w ramach programów lekowych, ale kryteria włączenia pacjentów powodują, że ich stosowanie jest możliwe dopiero wtedy, kiedy pacjent z rakiem prostaty przejdzie obciążającą chemioterapię. W innych krajach istnieje możliwość wyboru nowoczesnych leków na wcześniejszym etapie leczenia - podkreślał przewodniczący zespołu. Poseł wskazywał również, że dla zapewnienia oszczędności systemowych powinniśmy stawiać na nowoczesne technologie medyczne, gdyż dzięki ich stosowaniu pacjenci szybciej powracają do zdrowia i do pracy. - Warto dokładniej liczyć koszty, w tym społeczne - apelował.

Sojusz uroonkologiczny

Odnosząc się do poprawy możliwości leczenia pacjentów z rakiem prostaty, prof. Piotr Chłosta, w imieniu towarzystw naukowych - urologicznego i onkologii klinicznej - podkreślał:

- Ten sojusz inspiruje nas ku działaniom zmierzającym do opracowywania nowych standardów i doskonalenia postępowania. Jest konieczny, skoro większość działań urologa skupia się na tzw. uroonkologii, a udział nowotworów urologicznych w globalnej liczbie nowotworów w naszym kraju to ponad 25 proc. - uznał prof. Piotr Chłosta.

Podsumowanie

Wnioski wynikające z debaty wskazują, że dziś w Polsce chorzy na raka prostaty mogą żyć z chorobą i nie musi ona oznaczać wyroku ani zabierać wygody życia, dobrego samopoczucia. Chorzy mogą żyć długo i w dobrej formie. Organizacjom pacjenckim pomagającym chorym zależy na niepokornej postawie pacjentów. A z tym związana jest ich wiedza na temat nowoczesnych możliwości terapeutycznych, na temat tego, jakie opcje leczenia można zastosować wcześniej, jak skuteczne jest leczenie przed chemioterapią. ●

Wszelką pomoc pacjenci z rakiem prostaty i ich rodziny mogą otrzymać w Stowarzyszeniu Mężczyzn z Chorobami Prostaty „Gladiator" im. prof. Tadeusza Koszarowskiego, ul. Roentgena 5, 02-781 Warszawa, www.gladiator-prostata.pl/.
Telefon zaufania: 502 438 648, czynny codziennie w godzinach 8-20.
Dyżur w każdy poniedziałek w godzinach 16-18, telefon: +48 22 864 08 76.

Debata została zrealizowana w ramach zainicjowanego przez Polska Press cyklu „Ponadregionalnie o zdrowiu" realizowanego przy wsparciu firmy Janssen.

RYNEK ZDROWIA
PARTNER SPOTKANIA

Jednolity podatek na łopatkach

Jednolity podatek to pomysł sprzed lat. Dziś „podejście" pod ten pomysł rozpoczęła ekipa „dobrej zmiany". Jeśli byli rządzący i obecnie rządzący proponują to samo, należy zastanowić się skąd nagle taka zgodność idei, o co naprawdę chodzi. Moim zdaniem trzeba jednak wykazać czujność, by nie znaleźć się w sytuacji, „że aż strach się bać"

Analiza

Dr Dariusz Maciej Grabowski
redakcja@polskatimes.pl

Sam pomysł jednolitego podatku jest prosty i czytelny. Obywatel miast płacić podatek od dochodu do Urzędu Skarbowego i osobno składki na świadczenia społeczne do ZUS, odprowadza łączną kwotę według ustalonej formuły do wskazanej instytucji państwowej. Podkreślmy, że obywatel praktycznie przestaje rozróżniać, co jest podatkiem czyli zobowiązaniem wobec państwa, a co jest składką na świadczenia społeczne, których on powinien być beneficjentem, a państwo gwarantem. Jeśli tak, to pytanie brzmi: jaka myśl przyświecała pomysłodawcom? Odpowiedzi udziela Paweł Wojciechowski, główny autor pomysłu, który o sobie mówi, że nosił się z nim „od ponad dziesięciu lat". Za najważniejsze uważa:

- zwiększenie progresji dochodowej
- zmniejszenie zróżnicowania obciążeń między różnymi formami zatrudnienia
- radykalne uproszczenie systemu

Pawłowi Wojciechowskiemu należy podziękować za szczerość, stawia bowiem sprawę jasno. Nowy system opodatkowania powinien zwiększyć obciążenie najwyżej zarabiających, zaś za pośrednictwem budżetu odebrane środki finansowe powinny być przekazane grupom najuboższym. Uproszczenie zaś systemu ma polegać na tym, że płaci się wszystko jednorazowo w jednym urzędzie. Uzasadnienie tego pomysłu najjaśniej sformułował przewodniczący sejmowej komisji finansów publicznych poseł PiS Jacek Sasin (z wykształcenia historyk) - „Bogaci powinni płacić więcej - to wynika z elementarnego poczucia sprawiedliwości społecznej". Jak widać na wydziale historycznym UW uczyli pryncypialnie nawet po 1989 roku, doktryna marksistowska miała się dobrze, nauka nie poszła w las, a ... w posła Sasina.

Sprzeczność podstawowa

Ponieważ koncepcja jednolitego podatku całkowicie mi nie odpowiada, podejmę tu próbę wykazania fundamentalnych sprzeczności, które niesie ten pomysł a także przedstawię szczegółową analizę jego najważniejszych uchybień.

Podatek dochodowy jest daniną płaconą przez obywatela państwu jako instytucji. Obywatel akceptuje zarówno państwo, jak i płaconą mu daninę, w większym czy mniejszym stopniu utożsamiając się i z instytucją i ze swoją powinnością. Funkcje i obowiązki wykonywane przez państwo i jego instytucje uznaje za ważne i potrzebne. Podatek ma być zatem wydatkowany zgodnie z szeroko rozumianym interesem obywatela, z reguły za jego wiedzą. Wpływ obywatela na wysokość kwot, ich strukturę, czas wydatkowania jest praktycznie żaden. Ogranicza się do aktu wyborczego i decyzji opartej wyłącznie na przedwyborczych obietnicach tej czy innej partii.

Natomiast składki na świadczenia społeczne ze swej istoty i treści są częścią dochodu obywatela potrącaną po to, by sfinansować ryzyka, które mogą mu się przydarzyć teraz i w przyszłości, jak choroba bądź wypadek, a także by jego starość była zabezpieczona w postaci funduszu emerytalnego. Należy zatem powiedzieć, że składki są wypracowane przez obywatela, są jego własnością i jemu przynależą. Państwo pozostaje wyłącznie depozytariuszem i gwarantem, że należne świadczenia nie zostaną zmarnowane, a obywatel będzie mógł w pełni z nich korzystać znając zakres i wysokość. Podkreślam - składki na świadczenia społeczne to własność obywatela. Jeśli tak, to ich przeznaczenie jest zdeterminowane: składka zdrowotna powinna iść na zdrowie, emerytalna - na emeryturę. Zgoda, że obecnie w dużym stopniu składki są marnotrawione, bądź źle wydawane. Ale czy zmiana powinna iść w kierunku zatarcia różnicy między składką a podatkiem? Ujednolicony podatek fałszuje rolę państwa jako instytucji stojącej na straży praw i pieniędzy podatników. Ujednolicony podatek czyni nieczytelnym co obywatel jest winien państwu, a co państwo jest winne obywatelowi. Jeśli podatek to zobowiązanie obywatela wobec państwa to składki na świadczenia społeczne są zobowiązaniem państwa wobec obywatela. Moim zdaniem misją państwa w stosunku do naszego społeczeństwa nie mającego jeszcze w wielu wypadkach „genetycznego nawyku" kalkulowania według reguł gospodarki rynkowej jest edukowanie obywateli: za co płacą, na co płacą, komu, ile, i co im się z tego tytułu należy. Jednolity podatek takich odpowiedzi nie udziela. On je kamufluje, a przez to miast edukować, ogłupia i szkodzi.

Pojawia się także niebezpieczeństwo zawłaszczania przez państwo środków, które z definicji powinny być przeznaczone na ochronę zdrowia bądź zabezpieczenie emerytalne. Pojawia się także niebezpieczeństwo graniczące z pewnością, że zawłaszczone środki pójdą na sfinansowanie wydatków ważnych z punktu widzenia rządzących, ale niezgodnych z interesem obywatela. Ilość ryzyk związanych bądź wynikających z ogromu kwot, jakimi obracałby zarządzający jednolitym podatkiem gwałtownie wzrasta i stawia pod znakiem zapytania wypłacalność systemu w przyszłości.

Analiza szczegółowa

Dokonajmy szczegółowej analizy. Bez mała 25 milionów Polaków płaci podatek dochodowy. 23,8 miliona deklaruje dochody niższe od 85 500 złotych rocznie i płaci według stawki 18%. Daje to budżetowi około 35 miliardów złotych, co stanowi 75% wpływów z PIT. Około 3% podatników, nieco ponad pół miliona Polaków zarabia więcej niż 85 500 rocznie i 32% kwoty oddaje do budżetu, czyli około 12 miliardów złotych. Wśród zarabiających więcej jest grupa o dochodach ponad 120 tysięcy złotych rocznie - i to oni „wpadli w oko" rządzących i wspomnianego wcześniej posła Sasina. Czemu? Bowiem w myśl obowiązującego prawa od kwoty ponad 120 tysięcy złotych nie płaci się dodatkowej składki na ubezpieczenia społeczne. Posłowi Sasinowi nie podoba się, że „zarabiający 120 tysięcy złotych i więcej rocznie nie płacą już dodatkowej kwoty na ZUS". Pomysł więc polega na tym, by dochód ponad 120 tysięcy złotych rocznie opodatkować w takiej wysokości, by uzyskane środki były co najmniej równe nieściągniętej składce na ZUS. Według szacunków Pawła Wojciechowskiego tą drogą uzyska się około 7 miliardów złotych.

> **Podatek ma być wydatkowany zgodnie z interesem obywatela**

Pierwsza wątpliwość, którą trzeba tu podnieść dotyczy efektu dochodowego. Nawet jeśli przyjąć, że 7 miliardów złotych założone przez autorów projektu zostanie skutecznie ściągnięte, to spytać należy, jaką kwotę otrzyma obywatel z pięciomilionowej grupy najuboższych Polaków zarabiających mniej niż 13 000 złotych rocznie. Otóż będzie to kwota około 110 złotych miesięcznie. Moim zdaniem efekt polegający na spłaszczeniu różnic w dochodach między zamożnymi i ubogimi będzie iluzoryczny i niezauważalny. Podsycone zostaną natomiast nastroje konfrontacyjne, roszczeniowe, sprzeczności i animozje społeczne.

Wątpliwość druga dotycząca jednolitego podatku jest poważniejszej natury. Już teraz przedsiębiorcy, najczęściej z południa Polski, przerejestrowują swoje firmy do Czech bądź na Słowację - gdzie system podatkowy jest prostszy i bardziej przyjazny. Uważam, że proceder „wyprowadzania" firm zagranicę będzie postępował i nasili się, jeśli nowe regulacje zostaną wprowadzone w życie. Przy takim scenariuszu jest bardzo wątpliwe, by wpływy podatkowe wzrosły. Przeciwnie, sądzę że spadną i to znacznie.

Kolejnym argumentem, który należy uwzględnić, a który pomysłodawcy przemilczają bądź pomijają jest wpływ nowej ustawy na skłonność do oszczędzania. Skłonność ta jest funkcją wysokości dochodów. Opodatkowanie wyższych dochodów obniży skłonność i możliwości oszczędzania grup zamożniejszych ze wszystkimi tego konsekwencjami dla inwestycji i dynamiki gospodarczej. Zwolennicy nowego pomysłu odpowiedzą zapewne, że zwiększone dochody rodzin najuboższych przełożą się na zwiększoną skłonność do konsumpcji, a w konsekwencji zwiększony popyt i obroty handlu. Pytam - to czemu pieniądze z ustawy 500+, którym rządzący przypisywali podobną zdolność, nie zdynamizowały gospodarki, co gorsza, tempo wzrostu spada. Przyczyn tego zjawiska jest wiele, między innymi struktura konsumpcji, w której dobra z importu odgrywają doniosłą rolę. Wprowadzając ustawę 500+ rząd po części przyjął na siebie obowiązki „akwizytora" banków i sieci handlowych - gdyż to one na ustawie zarobiły najwięcej. Jest to jednak temat na osobną analizę.

Autorzy pomysłu za wielką zaletę uznają uproszczenie systemu podatkowego. Trudno mi się z tym zgodzić, gdy po przeczytaniu ich deklaracji dowiaduję się, że stawek podatkowych będzie nie dwie jak obecnie, a od czterech do siedmiu lub ośmiu. Czy na tym ma polegać prostota? Co więcej, w chwili obecnej mamy takie formy opodatkowania dla przedsiębiorców, jak ryczałt i kar-

REKLAMA 016905300

ta podatkowa. Korzysta z nich kilkaset tysięcy małych firm. Można obawiać się, że ujednolicony podatek te formy rozliczenia po prostu zlikwiduje. Przecież termin „jednolity" ma czytelną treść - taki sam dla wszystkich. Osobnym tematem jest definicja kosztu uzyskania przychodu dotycząca środowisk naukowych i twórczych, a na dziś określona na 50% przychodu. Jednolity podatek ten szczególny przywilej powinien znieść. Czy będzie to słuszne i zgodne z interesem środowiska naukowego i twórczego? Odpowiedź jest krótka - zdecydowanie nie. Co zatem zrobi ustawodawca?

Dochodzimy teraz do kwestii ogólniejszej natury. Proponowana zmiana ma objąć zarówno przedsiębiorców, jak i pracobiorców. Co najmniej kilkanaście milionów podatników powinno zatem zostać przeszkolonych w posługiwaniu się nowym prawem podatkowym. Pojawia się pytanie - kto weźmie na siebie trud przeszkolenia i nauczenia, skąd wygospodarowane zostaną na to środki finansowe, ile czasu na to potrzeba, jak wiele błędów i nieporozumień przyniesie życie.

Wrzucenie przedsiębiorców i pracobiorców do jednego worka podatkowego jest wielkim błędem, ponieważ komuna przez dziesięciolecia wybijała nam z głowy i obrzydzała postawy inicjatora działalności gospodarczej, sylwetkę przedsiębiorcy. To jest zawód, a ja śmiem twierdzić, że we współczesnej Polsce to jest misja i powołanie, które trzeba wspierać, krzewić, wyróżniać a państwo powinno się o kreatywnego i uczciwego przedsiębiorcę troszczyć. Tymczasem połączenie jednych i drugich oznacza całkowity brak zrozumienia różnic między obydwoma zawodami i znaczenia przedsiębiorców dla pomyślnej przyszłości naszej Ojczyzny.

Wyłączeni z systemu

Kolejna wątpliwość dotyczy grup społecznych, które mają własne, odrębne systemy emerytalne i systemy płacenia składek na świadczenia społeczne. Są to: służby mundurowe, wymiar sprawiedliwości, rolnicy należący do KRUS. Przytoczmy dane. Dotacja do systemu emerytalnego w 2016 roku wyniosła dla: służb mundurowych - 15,2 miliarda złotych, wymiaru sprawiedliwości - 2 miliardy, KRUS - 18,2 miliarda złotych. Dziś do jednego emeryta trzeba dołożyć z budżetu państwa (bo ze składek nie starcza) 10 tysięcy złotych, do rolnika emeryta 16,2 tysiąca złotych, emeryta mundurowego 38 tysięcy złotych, emeryta sędziego i prokuratora - 55 tysięcy złotych rocznie. I tu wypada zadać główne pytanie - czy powyższe grupy społeczne zostaną objęte ujednoliconym podatkiem? Wszystko wskazuje, że nie. Rząd zatem pod hasłem polityki prospołecznej odwraca uwagę opinii publicznej od tych grup (nie dotyczy to większości rolników), które były, są i pozostaną uprzywilejowane w sensie dochodowym i podatkowym. Budowanie autorytetu przez władzę na „wdzięczeniu się" do resortów siłowych, prokuratorów i sędziów to schemat znany z komunistycznej i balcerowiczowskiej przeszłości. Stosowanie go dla wszystkich rządzących kończyło się tak samo - porażką polityczną.

Pojawia się pytanie: kto weźmie na siebie trud przeszkolenia i nauczenia

Ukryte zagrożenie

Czy jest jednak cel, o którym się nie mówi, który moim zdaniem przyświeca rządzącym? Sądzę, że jest. Wobec rosnącego i przybierającego na sile zjawiska podejmowania jednoosobowej działalności gospodarczej, gdzie suma narzutów na dochód odprowadzanych bądź to jako podatki, bądź składki jest niższa od pracy na tzw. etacie, rząd chce praktycznie zlikwidować tę formę działalności zrównując obciążenia jednoosobowego przedsiębiorcy z pracownikiem na etacie. Tą drogą według niektórych szacunków rząd chce ściągnąć nawet kilkanaście miliardów złotych wpływów do budżetu. Nie jest zatem prawdą, że system pozostanie „neutralny", czyli to co odbierze bogatym dołoży biednym. Przeciwnie, nowy system uderzy przede wszystkim w małe i średnie polskie firmy, a najbardziej w początkujących, jednoosobowych przedsiębiorców. Wzrost liczby jednoosobowych firm to efekt ułomności systemu podatkowego i jego pazerności w stosunku do pracownika etatowego. Władze, miast szukać rozwiązania korzystnego dla obywatela i przedsiębiorcy, upatrują swoją szansę w bardziej opresyjnym podejściu do podatników. Co więcej, praktycznie zlikwidowany zostałby w ten sposób obecnie obowiązujący 19% liniowy podatek nałożony na jednoosobową działalność gospodarczą.

Jestem zdeklarowanym obrońcą polskiego małego i średniego przedsiębiorcy dlatego uważam, że wszelkie pomysły rządzących pogarszające sytuację tej grupy zawodowej trzeba ujawniać, upubliczniać a przede wszystkim stworzyć front sprzeciwu i ... zwyciężyć.

Poważnym zarzutem wobec jednolitego podatku jest fakt, że pomija on całkowicie problem dynamiki gospodarczej. Jedną z funkcji i zadań systemu podatkowego powinno być właśnie kreowanie dynamiki gospodarczej. System winien zachęcać do oszczędzania, inwestowania, tworzenia nowych miejsc pracy, pomysłowości i wynalazczości. W rządowej propozycji na ten temat nie ma nic.

Nie ma także nic, albo przeciwnie, usunięto wszystkie elementy w postaci zwolnień, ulg, które miałyby na celu realizację zadań społecznych, a zwłaszcza wsparcie potrzebujących w chwili, gdy znajdą się w kłopotach.

Jednolity podatek penalizuje bogatych argumentując, że zamożniejsi „bardziej korzystają z instytucji państwowych" zatem w większym stopniu powinni uczestniczyć w ich finansowaniu. Mówiąc nieco obrazowo - policjant bardziej broni bogatego niż biednego. Pogląd ten przy bliższej analizie trudno uznać za poprawny. Bogatych stać na zamknięte osiedla, prywatną służbę zdrowia a fakt, że zawód ochroniarza wykonuje około 300 tysięcy osób (policja ma około 100 tysięcy etatów) dowodzi, że słabe, źle rządzone państwo coraz częściej wycofuje się z funkcji, które kiedyś były dla niego zastrzeżone, jemu przypisywane. Państwo stosuje modną dziś metodę o okropnej angielskiej nazwie „outsourcingu", czyli mówiąc z polska spychania obowiązków na innych. Jeśli tak jest, a jest - to wskazanie przez rządzących na bogatych jako tych, których należy dodatkowo opodatkować jest dowodem, że władza nie kieruje się troską o obywatela i państwo, a troszczy jedynie o fundusze potrzebne do utrzymania pasożytującej biurokracji, urzędników, struktur „tajnych, widnych i dwupłciowych".

Po rozum do głowy?

Pomysł" jednej elity" na podatek „jednolity" jest gorzej niż zły i cieszyć należy się z faktu, że nigdy jako spójnej koncepcji nie uda się go wprowadzić. Możemy odetchnąć. Podjęcie prac nad nim wystawia rządzącym jak najgorsze świadectwo - braku przygotowania, braku koncepcji, nieliczenia się ze zdaniem niezależnych ekonomistów. Samo nagłośnienie idei jednolitego podatku zwarzyło atmosferę społeczną, zasiało niepewność, pogorszyło nastroje wśród przedsiębiorców. Coraz częstsze głosy wśród samych rządzących mówiące o potrzebie wycofania się z pomysłu dowodzą, że niektórzy próbują iść „po rozum do głowy". Oby na dodatek zaczęli pytać i słuchać tych, którym dobro Polski leży na sercu. ●

REKLAMA 006873966

Wybieraj mądrze!
Nie zgaduj – sprawdź,
kto sprzedaje Ci energię.

- sprawdź identyfikator Sprzedawcy
- dokładnie przeczytaj umowę i zachowaj jeden egzemplarz
- masz 14 dni na odstąpienie od umowy zawartej poza punktem sprzedaży usług

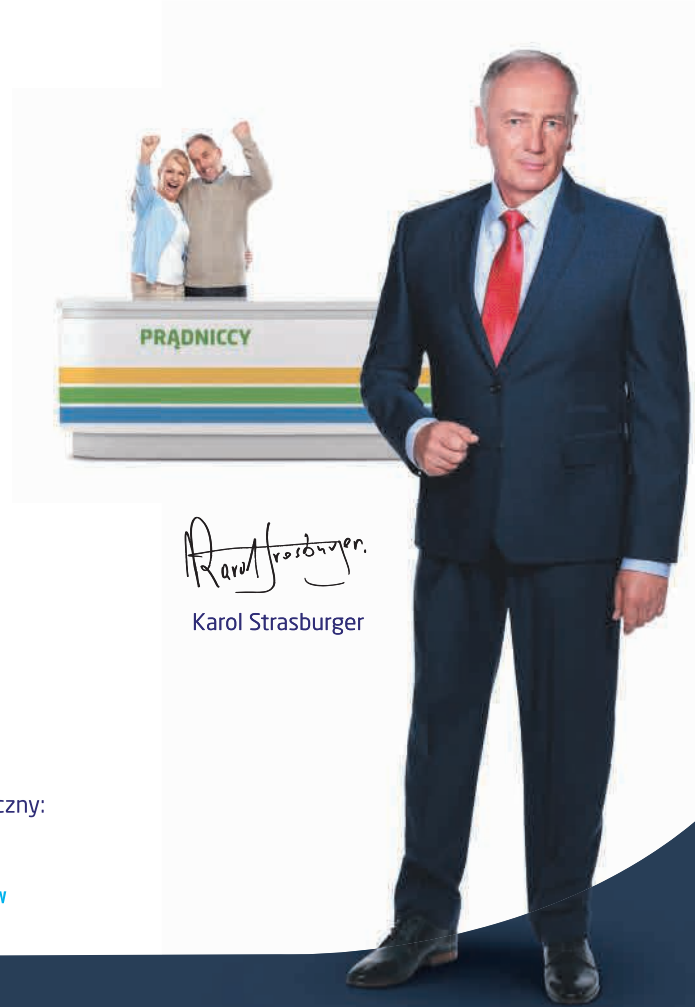

Karol Strasburger

toe

Pod patronatem: Urząd Regulacji Energetyki

Partner merytoryczny: Federacja Konsumentów

Kampanię wspierają: Enea, Energa, innogy, PGE Polska Grupa Energetyczna, plus, TAURON Polska Energia

Więcej informacji na **www.toe.pl**

Posmakuj kuchni żydowskiej

Dania są aromatyczne, smaczne i proste. Często składają się tylko z kilku składników. Podstawą jest również obfite stosowanie niektórych przypraw: kminku, szafranu, goździków czy czosnku

Cymes

SKŁADNIKI:
- 3 łyżki rodzynek
- 1 kg marchewki
- 3 łyżki suszonych śliwek
- 2 łyżeczki cynamonu
- 2 łyżeczki cukru
- sok z 2 małych cytryn
- sól

PRZYGOTOWANIE:
Marchew kroimy w kostkę lub plasterki. Zalewamy wodą, dodajemy rodzynki, pokrojone śliwki. Doprawiamy cynamonem, cukrem i solą. Gotujemy, aż marchew zrobi się miękka. Pod koniec gotowania dodajemy sok z cytryny. Podajemy na ciepło lub zimno.

Żydowski Kawior

SKŁADNIKI:
- 1 kg kurzych wątróbek
- 3-4 cebule
- 4 jajka ugotowane na twardo
- sól, pieprz
- 3-4 łyżki tłuszczu

PRZYGOTOWANIE:
Cebulę kroimy i podsmażamy na tłuszczu. Dodajemy wątróbki. Całość dusimy kilka minut. Po wystudzeniu przekładamy do malaksera. Miksujemy z jajkiem i przyprawami. Układamy na talerzu w formie kopca kreta. Wierzch dekorujemy kawałeczkami jajka i pietruszką. Podajemy z ulubionym pieczywem.

Hamantasze

SKŁADNIKI:
- 100 gram masła
- 3 szklanki mąki
- 2 jajka
- pół szklanki cukru
- wanilia
- nadzienie makowe

PRZYGOTOWANIE:
Z masła, mąki, cukru i jajek ugniatamy kruche ciasto. Gotowe zawijamy w folię i zostawiamy w lodówce na ok. godzinę.
Po tym czasie ciasto rozwałkowujemy na duży placek (grubość ok. 4 mm). Szklanką wycinamy kółeczka, a każde zaginamy w trzech miejscach. Jego wnętrze wypełniamy nadzieniem makowym. Pamiętajcie, że ciasta powinny mieć kształ trójkątów. Przygotowane smakołyki pieczamy przez ok. 20 minut (aż się zarumienią) w temperaturze 180 st. C.

Gęsie pipki

SKŁADNIKI:
- 5 szyjek gęsich
- 1 kg ziemniaków
- 100 g cebuli
- 3 jajka
- tłuszcz z gęsi
- sól i pieprz
- majeranek (cząber lub tymianek)

PRZYGOTOWANIE:
Z szyj gęsich zdjąć delikatnie skórę – tak aby nie uszkodzić skóry. Na mięsie z szyjek można ugotować bulion. Skórę z gęsich szyjek dokładnie oczyścić, usunąć tłuszcz (stopić), dokładnie umyć. Ziemniaki zetrzeć na tarce do ziemniaków (bardzo drobnej), odsączyć. Lekko odcisnąć, odciśnięty płyn odstawić na parę minut. Zlać wodę, a pozostałą na dnie skrobię dodać do ziemniaków. Cebulę obrać, pokroić w kostkę i podsmażyć na wytopionym gęsim tłuszczu. Do ziemniaków dodać cebulę, jajka, sól, pieprz, przyprawy. Dokładnie wymieszać. Farszem wypełnić (niezbyt ściśle) skórę z gęsich szyjek, zaszyć z obu stron. Obsmażyć na gęsim tłuszczu, na rumiano ze wszystkich stron. Przełożyć na blachę wysmarowaną tłuszczem, podlać niewielką ilością wody i wstawić do piekarnika nagrzanego do 180 stopni na około godzinę.
Przepis od Elżbiety

Hummus

SKŁADNIKI:
- 2 kilogramy ciecierzycy
- 1 szklanka zimnej wody
- 1 łyżka sody
- 2 cytryny
- 4 ząbki czosnku
- 6-8 łyżek pasty tahini (z sezamu)
- biała, średnia cebula
- 4 łyżeczki kuminu
- 4 łyżeczki sumaku
- 1 łyżeczka cynamonu
- 1 łyżeczka ziaren kolendry
- 2 łyżeczki grysu (płatków) z ostrej papryki
- 2 łyżeczki soli
- łyżeczka zataru
- 20 ml oliwy
- natka pietruszki
- prażona ciecierzyca

PRZYGOTOWANIE:
Całą ciecierzycę zalewamy wodą w garnku, tak, żeby cały czas była przykryta. Po 12 godzinach połowę gotujemy do miękkości z sodą (bez soli), a drugą połowę odcedzamy i mielimy w maszynce do mięsa. Gdy ciecierzyca jest miękka po ugotowaniu, odlewamy wodę i studzimy. Zimne ziarna wrzucamy do blendera, dodajemy sok wyciśnięty z dwóch cytryn, łyżeczkę soli, pastę tahini, sól. Blendujemy wszystkie składniki razem, dolewając stopniowo wodę, by masa miała konsystencję gęstej śmietany. Posypujemy chili, natką i polewamy oliwą.
JED

Gefilte fish, czyli ryba faszerowana

SKŁADNIKI:
- rosół: marchewki, cebule, pietruszki, seler, natka pietruszki, lubczyk, por, sól, pieprz, liście laurowe, ziele angielskie, ryby - głowy i płetwy, żelatyna
- ryby: 1 kg ryby słodkowodnej, kilka cebul, pęczek natki pietruszki, 2 łodygi selera naciowego, sól, pieprz, 2 żółtka na twardo, 4 surowe jajka

PRZYGOTOWANIE:
Rosół: Przygotowanie dania zaczynamy od bulionu. Warzywa gotujemy na małym ogniu. Na końcu dodajemy rybę. Przygotowany wywar na noc wkładamy do lodówki. Ryba: Cebulę drobno pokroić i zeszklić na maśle. Następnie zmielić dokładnie rybę wraz z przygotowaną wcześniej cebulą, dodać posiekany seler naciowy oraz ugotowane żółtka. Masę przyprawić, dodać pietruszkę oraz surowe jajka. Wszystko dokładnie wymieszać. Formować pulpeciki (najlepiej w kształcie ruloników lub kuleczek) i wkładać do zwykłej reklamówki. Następnie tak przygotowane pulpeciki włożyć do wrzątku i gotować przez ok. 20-30 minut. Po wyjęciu ostudzić i pozostawić kotleciki już bez siatki w lodówce. Następnego dnia pulpety kroimy w plastry i wkładamy je do głębokiego naczynia. Dekorujemy plasterkami marchewki, cebuli i natką pietruszki. Następnie przelewamy przez sito bulion i podgrzewamy go. Dodajemy żelatyny. Dokładnie wszystko mieszamy i zalewamy nasze pulpety. Wstawiamy je do lodówki i czekamy, aż powstanie galareta.

Czulent

SKŁADNIKI:
- 2 szklanki fasoli
- 2/3 szklanki kaszy jaglanej lub pęczaku
- 400 g ziemniaków
- 1 kg wołowiny lub baraniny
- 3 cebule
- 4 duże łyżki smalcu
- spora główka czosnku
- łyżeczka słodkiej papryki
- po pół łyżeczki tymianku i kminku
- ćwierć łyżeczki świeżo zmielonego pieprzu
- po szczypcie imbiru i gałki muszkatołowej
- ziele angielskie
- liść laurowy
- litr bulionu wołowego
- sól do smaku

PRZYGOTOWANIE:
Na początku wsyp fasolę do garnka i zalej wrzącą wodą. Gdy fasola będzie nasiąkać, przepłucz na sicie kaszę oraz obrane ziemniaki. Następnie pokrój ziemniaki na plasterki, mięso na kawałki, a cebulę w zgrabne piórka. Gdy to zrobisz, przełóż pokrojone i podzielone składniki do osobnych miseczek. Teraz rozgrzej smalec w głębokim rondlu, zeszklij cebulę i szybko zdejmij ją łyżką cedzakową z rozgrzanego tłuszczu, na jej miejsce włóż mięso, gdy zacznie się lekko rumienić, przełóż je do miski z cebulą. W sporym garnku układaj na przemian cebulę, mięso, fasolę, kaszę, a na koniec ziemniaki. Układaj je tak długo, aż wyczerpią się składniki. Uwaga: na wierzch kładziemy grubszą warstwę ziemniaków. Podczas układania każdą warstwę „przekładańca" lekko posól, mięso posyp roztartym na desce do krojenia czosnkiem, pieprzem, papryką, imbirem i odrobiną gałki muszkatołowej. Do potrawy możesz jeszcze dodać liść laurowy i 2 ziarna ziela angielskiego. Ostatnim etapem jest zalanie wszystkich warstw ułożonych w garnku prawie wrzącym bulionem tak, by wywar przykrył ułożone wcześniej warstwami składniki.

Podgrzej na bardzo małym gazie czulent, a gdy bulion zacznie wrzeć, przykryj garnek pokrywką i bardzo powoli duś... do momentu, aż wsiąknie w potrawę. Na koniec włóż czulent do piekarnika nagrzanego do 100 stopni C. W oryginalnym przepisie potrawę pieczemy przez 12 godzin, ja zapiekam czulent nieco krócej około 6-8 godzin.
Przepis od Adama Kuźniarskiego

Kawior po żydowsku

SKŁADNIKI:
- 0,5 kg wątróbki drobiowej
- 4 duże cebule
- 5 jaj ugotowanych na twardo
- masło do podsmażenia
- sól, pieprz, czosnek

PRZYGOTOWANIE:
Wątróbkę podsmażyć w całości na maśle i potem pokroić w kostkę. Cebulę pokroić w kostkę, również podsmażyć na maśle. Jajka ugotowane na twardo pokroić w kostkę. Wszystko razem połączyć, wymieszać i doprawić. Wyłożyć do foremki keksówki (korytka). Wstawić do lodówki na 2-3 godziny.
Przepis od Doroty Jancy, KGW Bronowice

Tak prezentują się hamantasze. To tradycyjne dla kuchni żydowskiej nadziewane ciasteczka w kształcie trójkątów. Wypieka się je w przeddzień święta Purim i spożywa się je właśnie w czasie tego święta

FOT. ISTOCKPHOTO